

95929 - 95934

1

1. *Scilla maritima*
 2. *Filago germanica*
 3. *Narcissus pinnatifidus*
 4. *Matthiola incana*
 5. *Primula galanensis*
 6. *Samolus nigriflorus*

1. *Scilla*
 2. *Narcissus*
 3. *Narcissus*
 4. *Narcissus*
 5. *Narcissus*
 6. *Narcissus*

28.

82

FILOZOF
ZONATY
KOMEDYA,
W PIĄCIU AKTACH
P. NERICAULT DESTOUCHES.



W WARSZAWIE

w Drukarni P. DUFOUR Drukarza J. K. Mei y Rzpłtey
samego Uprzywileiowanego na Drukarnię Muzyki.

M. DCC. LXXXI.

OSOBY.

ARTST, Filozof żonaty.

MELISSA, żona Arysta.

DAMON, przyjaciel Arysta, amant Elizy.

*SZAMBELAN DWORNICKI, drugi
przyjaciel Arysta, kochający Melissę.*

POTULSKI, ojciec Arysta.

FURTBURSKI, stryj Arysta.

ELIZA, siostra starsza Melissy.

REGINKA, służąca Melissy.

LOKAT.



Scena w Warszawie w domu Arysta.



FILOZOF
ZONATY
KOMEDYA.

A K T I.

SCENA I.

*Teatr okazuje gabinet literacki, pełen książek. Aryst
siedzi przy stoliku, na którym stoi kalamarz,
piora, instrumenta matematyczne, i sfera.*

A R Y S T (sam w szlafroku.)

WSZYSTKO mnie tu przyjemnie bawi,
wszystko daie uczuwać małą komu znaną ro-
kosz niewinney swobody. Tu żyję spokojny,
szczęśliwy, daleki od zazdrości i ambicyi; ży-
A ij

ję kontent z majątku miarkowanego żądaniem...
 żyję, i widzę wszystkie moje dogodzone pragnienia. Jestem sam, lecz nie samotny; zawsze zabawny, choć pracą nie obarczony... Jeżeli zaś chcę w moich rozerwać się zatrudnieniach, do was, o! Muzy, uciekam, i znajduję rokosz. Przecież (dzięki waszemu obcowaniu) nie naciągnęło moje czoło posępnych marszczków surowego i dzikiego mędrca!... Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie lubie widoki mojemu zabiegają poyrzeniu, wszędzie podległość i uleganie, wszędzie moja powaga, i władanie!... Ale cóż z tego! kiedy moje panowanie ten mały, ogranicza kącik! Tu rozkazuję; gdzieindziej ulegać muszę! Tu jestem wolny, tu jestem młodym. nieestety!... wyidę za prog? jużkim niewolnik, jużkim żonaty!... Tak jest!... żonaty!... O filozofio! iakżeś niefilna przeciw wdziękom tej płci śliczney, o którą niedbać zdaiemy się! Umie ona niewolić, umie gromić samą mądrość, umie czcicielow oney w niewolnicze uymować pęta! Czyż tego nieszczęścia nie doznałem na sobie?... Przecież mam żonę rozumną i enotliwą, kocham ją, nie iak mąż, ale iak miłośnik, wzajemnie od niey nayżywszą kochany miłością. Szczęście moje więcey ją obchodzi, iak iey własne; za cóż przeciw małżeństwu mam powstawać? Zona moja warta jest nie tylko kochania, ale, gdyby się godziło, uwielbienia!... Ale cóż! kiedy żona... Codzień w niey nowe postrzegam wady zręcznie ukrywane przedtym!... ah! płci równie piękna iak chytra! także to zręcznie umiesz łowić ferca czule!... Ale, iakaż moja nierostropność!

mogł^{by}żem rozumieć, aby nieba niezwykłym
płyczałem dla mnie pierwszego miały two-
rzyć zupełnie doskonałą kobietę? ... Przecież
tak rozumiałem, i popełniłem głupstwo. Nale-
ży więc, ile możności, unikać wszelkiego prze-
ciwieństwa, cierpieć i wewnętrznie doli swo-
iej złorzeczyć. (*opuścił się łokciem o stół, za-
cyna czytać, tak, że Damon wchodzi nie po-
strzeżony, i opiera się na poręczu krzesła. Aryst
mówi potym z uwagi, nie widząc jednak Da-
mona.*)

SCENA II.

ARYST, DAMON.

· A R Y S T.

WSZAK to istny moy obraz; wszak to
żywe odmalowanie mędrca zgromionego od
natury. Ah! ty to pierwszy przeciwko mojemu
powstałszy rozumowi, dozwoliłeś mi ku sy-
tości pić truciznę, okrutny przyiacielu! twoja
to, acz niewinna, okropna jednak w tym razie
wymowa stawiała mi tę osobę w obrazie tak
lubym, tak przyjemnym, tak miłym, żem zbyt
ufny stał się nakoniec ofiarą prędkiego uwie-
rzenia!

D A M O N.

Albo już żaluiesz?

ARTYST, (zadziwiony postrzegając go.)
Dla Boga, co słyżę! tyż to jesteś, Damonie?
DAMON.

Tak jest.

ARTYST.
Pocóż mnie znieśc schodzić?

DAMON.
Albożem cię schodził? mówisz do mnie; odpowiadam.

ARTYST.
Ale ja sam się tu być rozumiałem.

DAMON.
Nie mniey i ja jestem tym zdziwiony przypadkiem, nie schodziłem cię albowiem umyślnie... Przypadek odkrył mi, że jestem w twoim umyśle obwiniony. Ale proszę, wymow mi: jaki mój jest występki?

ARTYST.
Ten, żeś mnie ożenił.

DAMON.
Coż w tym złego?

ARTYST.
Nie powinnoby być; i tak sobie przynajmniey tuszylem.

DAMON.
Alboż nie możesz, ieśli ci się co nie podoba; urządzić inaczej?

ARTYST.
Nie mogę... Nic bowiem pewniejszego, iak to; że każdy mąż ma na coż narzekać. Dotąd milczałem, ale kiedy przypadek mnie wydał, nie mam przyczyn taenia się więcej.

DAMON.
Prawdziwie, nie rozumiem cię.

A R T S T.

Przecz mnie nie rozumiesz?

D A M O N.

Małżeństwo, niech kto chce co mówi, jest...

A R T S T.

Jest iarżmem, i ciężką niewolą.

D A M O N.

Ale dla kobiet, nie dla nas.

A R T S T.

Przydźcie kiedykolwiek na ciebie kolej,
i poznasz, że prawdę mówiłem. Doświadczysz,
upewniam, że mąż, który chce kochać żonę,
musi się zrzec całej woli swojej.

D A M O N.

Dla czego? skoro żona jest łagodna, dobra,
roztropna...

A R T S T.

I moja żona doświadczyła przymiotów do zniewolenia serca, ale się niechce przymuszać dla
mnie.

D A M O N.

Naprzykład: w czymże?

A R T S T.

Jey niebaczość codzieln mnie uraża i zastrasza. Naywiększa iey rekosz zdaje się zależeć na
wydarzaniu umyślnych okazji do rozumienia,
że jestem iey mężem; codzieln nowe zabiera
zności, codzieln nowe przyjaźni, a mia-
nowicie z kobietami. Uważ teraz, czy w do-
brym poufaniu jest mój sekret?

D A M O N.

Ubolewam nad tym, że zamiar twój uiszczo-
ny nie będzie; ale nareszcie, czyż chcesz, aby
nigdy o twoim nie dowiedziano się ożenieniu?

A R T S T.

Jakżebym był szczęśliwy!

D A M O N.

Szczęśliwy! dla czego?

A R T S T.

Dla tego, że sekretne ożenienie się moje już od dwóch lat mimo woli oycy mego uczynione, później, czy prędzey ściągnie na mnie gniew jego.

D A M O N.

Na kilka słow, bądź pewien, uspokoi się. Przywiązanie jego...

A R T S T.

Więcey ja obawiam się umartwienia, iak gniewu jego. Szanuję i kocham oycy: ale, czy on teraz będzie przeświadczony o tym, kiedy się dowie, że mimo woli i rady rodzicielskiej, tak ważney dokonałem sprawy? Ale nie tylko to niewoli mnie do sekretu, mowmy poufale: wstydzę się tego, acz tak pełnego słodyczy, i czci nazwiska męża... drzę na samo jego wzmiankę, pewien wczesnie niezawodnego wyśzydzenia! Pobudka ta wprawdzie ladaia-ka, lecz...

D A M O N.

Rostropnie czynisz, że się z nią przed nikim, pręcz mnie, nie wydałeś. Względem innych, a mianowicie względem żony, staray się o pozornieysze przyczyny, i mów raczey, że twoy stry, wielki bogacz, lecz przytym niebaczny, i nieużyty wydziedziczyłby cię, za najmonieyszym domysłem o twoim sekretnym postanowieniu, bez jego woli.

A R T S T.

Ta nieokrotność kobiecych języków więcej mnie jeszcze udręcza: nie dość albowiem moiej żony; siostra icy nierostropniejsza jeszcze, i taki dziwak, że w momencie wyrzabiła wesołą, w momencie ponurą, płaczącą i śmiejącą się, rozgadaną i niemą; siostra, nadwój, icy, a przyszła twoja żona (która mówiąc nawiasem, nie raz ci doymie do żywego) w ostatnią wprawia mnie rozpacz, przez swoją nieśmiałość, przez nowe coraz przyjaźnie, i wprowadzanie codziennie w dom mój nudnych, a osobliwych oryginałów kobiet. Jeśli kiedy przez zapomnienie trafi mi się wejść do ich pokoju; tylko co drzwi odemknę, wnet nastaje milczenie, szepty, pokrywane uśmiechy; toż znowu ni ztąd ni zowąd wrzawa słów i tłumliwe gadania: tak dalece, że ze wszystkich gestów i min, nic innego wnosić sobie nie mogę, tylko, że siostra moiej żony powierzyła sekretu moiego postanowienia całej dykietnej kompanii. Patrzaj, jeśli teraz nie powinienem czekać rozgłoszenia tej rzeczy?

D A M O N.

Prawda, nierostropnie postąpiły w tej mierze. Poczekajże, pójdę ie za to połać obie.

A R T S T.

Day pokoy. Zdać mi się, lepiejby było postąpić łagodnością. Przestrzeż tylko moją żonę, że jeżeli odtąd lepiej nie zachowa sekretu, będę musiał schronić się na wieś.

D A M O N. (*z niewiernym uśmiechem.*)

Ale, ale, wszak to ty podobno, przyjacielu, łozysz swoją umiejętność na to, abyś mógł cierpliwie znosić wszystkie zdarzenia?

A R T S T.

Upewniam, że i tobie wkrótce, nie mniej, iak mnie potrzeba łędzie cierpliwości. Znam dobrze Elizę, i obawiam się...

D A M O N.

Aryście! kocham Elizę, i gdybym się miał żenić, wady iey najmniej mnie nie ustraszą. Przynaglony zataić przed nią urodzenie moje, tym samym wstręt iey od siebie czynię, rozumie albowiem, iżby ją moje upodliło zamężyć: lecz w rzeczy samey iestem kochany. A zatym, byle brat mój zakończył szczęśliwie ten interes, którym jedynie przez punkt honoru obarczony zostałem, dam się iey poznać, i...

A R T S T.

Im prędzey, tym lepiej; wierz mi.

D A M O N.

Idę teraz upomnąć twoją żonę i Elizę.



SCENA III.

ARTYST sam.

AH! gdybyż się prędzey ożenił. Im bardziey on będzie nieukontentowany, tym ia lepiej pomśczoneym zostanę.

SCENA IV.

ARYST, REGINKA,

(przypatruie się przez czas nieiaki Arystowi,
nim do niego przemówi.)

REGINKA, (na stronie.)

A ZAWSZE w tych książkach! (głośno)
Mości Dobrodzieiu, Jmość żona pańska...

ARTYST.

Tak, tak, wrzeszcz iefzcze głośniey.

REGINKA, (głośniey mówi.)

I owfzem. Jmość...

ARTYST.

Cisze. Od dwóch lat przykazałem wam, żeby mi tu to słowo, żona, nigdy nie było wspomniane. Zapomniała o tym?

REGINKA.

A choćby i nie zapomniała? cóż to pana ma obrażać?

ARTST.

Obraża. Nayprzod, że to jest niepośluszeństwo.

REGINKA.

No! ta racya ieszcze uchodzi iakkolwiek.

ARTST.

Powtóre...

REGINKA.

A już też to tego nadto. Powiedziałby, kto, że to jest wielki występek, nazywać Jmość tak, iak się iey należy.

ARTST.

Ey Reginko!

REGINKA.

Cóż?

ARTST.

Kiedy co mówię, potrzeba mnie słuchać.

REGINKA.

Ba ieszcze co! ktoby się chciał zastanawiać nad tym wśzytким, co W. P. Dobr: mówisz, przysłoby...

ARTST.

Cóż to! nie dasz mi słowa przemówić?

REGINKA.

Dla mnie wolno i całą godzinę gadać.

ARTST.

Wiesz dobrze, że sekret...

REGINKA.

Już to'my całe dwa lata żyjemy, nie wiedzieć, po jakimu. Milczałam dotąd, ile możności; ale nareście widzę, że tenby mnie sekret uduśli.

ARTST.

Mówię ci, że mi nieśtanie cierpliwości.

R E G I N K A.

Trzeba też to nareszcie mieć i sumnienie: Zeby kobiety całe dwa lata milczały! a dla boga! to jest tyrania. Wolałabym sto razy żyć w klasztorze, pościć, modlić się, biczować i nie spać; a przynajmniej do woli się nagać.

A R T S T. (*porywając się od stolika.*)

Ale ktoż wam zabrania gadać? gadajcie sobie, ile chcecie; ja tylko w tym jednym po was wymagam skretu.

R E G I N K A.

Tak jest; w tym jednym. Ta też to rzecz jedna jest dla nas owozem zakazanym, do którego najwięcej biorą pokusy. Postaw mi W. P. Dobrze! ile chcesz najwyższych potraw, a między niemi zabroń jeść, (naprzykład mówiąc) kaszy; ujemniam, że na ten czas kasza znacznie skusza apetyt, jak Podlaskie kuropatwy. Otoż to się właśnie stosuje i do Pańskiego skretu.

A R T S T.

O Boże! co za przeciwnictwo! co za gadatliwość! co za niedyskretya. Otoż to kobiety!

R E G I N K A.

Niechże i tak! gdzie. Przecież mimo te wszystkie plci naszej wady, my kobiety rządziemy mężczyznami. Mężczyźni mają rozum, dyskretya i roztropność; a my tylko mamy wdzięki. Przecież te wdzięki wszystko mogą. Darownie ponury filozof posępią czoło, zżyma się, balaśuje i w swoim zamyka gabinecie. Niech tylko gładka stanie twarzyczka, niech się umili, uśmiechnie, zawróci lubo oczęta... wnet

po wszystkim. Tak, tak; skoro atakujemy;
zawsze nasz tryumf.

A R T S T, (na froncie.)

Otoż właśnie w kilku słowach cała moja wy-
rażona historia.

R E G I N K A.

O! jakbym ja rada widzieć, żeby to sobie
Pan siedział na dużym krześle, a tu koło niego
Jasio, Juzio, Kasia, Ruzia śliczniuchne dziate-
czki! te na niego woła, *tata*, te mu się drze
na kolana, te mu dają reszty cukierkow: aż tu
rozrzewniony tatulo, daleyże ie ścisnąć, daley
całować, daley w ślepą babkę, daley w mručka...

A R T S T, (na froncie.)

Niepoczciwa dziewczyna! iak dowcipnie
i sprawiedliwie żartnie ze mnie! (*do Reginki.*)
Damyż temu pokoy, moja Reginko! Bądź
co bądź, muszę jeszcze przez czas niejaki tać
się z moim cżenieniem, żeby mnie stry i nie
wydziedziczył; bo mi idzie o znaczną po nim
sukcesyją.

R E G I N K A.

Więc W. P. Dobr: masz i ambicyją? Kiedy
tak, poznaię teraz, że filozofowie nie rōżnią
się od innych ludzi. A gdzież to owe wielkie
zdania, których codzień nasłuchaliśmy się?
Wszak to (i:śli się nie mylę) są W. P. Dobr:
słowa: *O cōż to za słabość ludzka, ta chęć bogace-
nia się! O iak wielu staie się przez to wielozę-
śliwych! Co do mnie, czuję, że więcej mam nad
żądanie. Cnota mój skarb! dla niej wargar-
dziłoym wszystkimi całego świata królestwy.*
Oy właśnie! upewniam, żebyś W. P. Dobr:
nie dotrzymał tego.

A R T S T.

Myliłz się bardzo, Reginko! Zdanie moje zawsze jest iednostayne, ale go podług okoliczności miarkować umiem. A nie przeklikałyżby mnie potym moje dzieci, gdybym chciał być filozofem z ich krzywdą? nie trzeba w niczym zbytkować. Powinienem więc i ia iakikolwiek dla nich upewnić majątek.

R E G I N K A.

Chwalebna to jest pobudka, i zapominać o niey nie należy: ale, gdzież są te dzieci? może one będą kiedy, z tym wszystkim...

A R T S T.

Co?

R E G I N K A.

Rozumiałabym, że nie wielkiedy po panu trzeba spodziewać się płodności.

A R T S T.

Alboż to ia jestem stary, lub niedołężny? Rachuiąc dopiero trzydziesty rok życia, a drugi ożenienia, spodziewam się...

R E G I N K A.

Jac tego zapewne nie wiem, ale pospolicie mówią, że wszystkich razem darow mieć nie można, i że wielcy mędrcie mało mają talentow do oycowstwa.

A R T S T.

Jak widzę, Reginka ma subtelny rozum, i dość go pięknie stara się okazać. Otoż na tak grzeczny komplement, pozwol sobie, Mościa Panno, niemniej także odpowiedzieć grzecznie. Są pewne czasy, że żarty uchodzą; ale dobroć Pańska psuie częstokroć ślugi, tak dalece, że koniec końcem przychodzi ich niekiedy wypę-

dzić. Spodziewam się, że Reginka, iak dziecko aż nadto dowcipne, zechce korzystać z tey przestrogi, albo spodziewać się wniosku.

R E G I N K A.

A Pan, iako wielki filozof, powinien sobie także wniesć, że niebezpieczno jest odprawiać służbę wiadomą pańskich sekretow, a jeszcze służbę kobietę, która i milczeć nie umie, i pomścić się zechce.

A R T S T.

Prawda, prawda. Zapomniałem, że takie usługi złotem owłosem potrzeba ważyć. (*dać iey pieniądze*) Otoż na uspokojenie gadatliwości twojej. (*na stronie.*) Darmo! dola moja, milczeć, i cierpliwie znosić.

R E G I N K A.

Prawdziwie! więcej sta funtow ciężaru ulżyłeś mi W. M. Pan Dobrze, ale, żebyś była jeszcze lepsza, niech Pan częściciey z łaski swojej tak skuteczną dać mi pomoc.

A R T S T.

No, no; spuść się na mnie, byleś ty tylko...

R E G I N K A.

Upewniam, że póki będą pieniądze, póty i pewność z mojej strony sekretu. Ale dobrze, żem sobie przypomniała. Zona Pańska tfy . . . pomyliam się... Imość...

A R T S T.

Imość?

R E G I N K A.

Ah! nie. Moja Pani! chceś ty tu przwiść do W. P. Dora i pomówić z nim w pewnych interesach.

ARTST,

ARTYST, (z żywością.)

Ale do czego te interesa w dzień, kiedy będziemy mieli dość czasu w nocy? Moja kochana! niechże ona tu nie przychodzi, bo muszę z kilka godzin poczytać, i namyslać się.

REGINKA.

Niechże i tak, wszystko dla Pana uczynię.

SCENA V.

ARTYST sam.

LAGODNOSC i pieniądze więcej mają periwazy, iak wszystkie w świecie dowody: Są to dwa szczególne sposoby ku poprawie nągorzłych. Jak uważam, Reginka lubi pieniądze; niechże one będą odtąd hamulcem na ten niebezpieczny, i ładziaki charakter. Teraz kiedy już jestem spokojniejszy, muszę się wziąć do jakiego użytecznego dzieła: *(siada przy stole i chce czytać.)*

*Filozof żonaty.*

S C E N A VI.

ARYST, MELISSA, (*wchodzi.*)ARYST, (*postrzegając wchodzącą żonę.*)

POCOZ tu Wac Pani przychodzisz?

MELISSA.

Zkądże w Wac Panu te pomieszanie i bo-
iaźń? czyż moja bytność tyle ma wrazać
wstrętu?...

ARTST.

Owsem, bytność Wac Pani jest dla mnie
źródłem najmocniejszey rokoszy, bo cię
serdecznie kocham; ale po co wchodzisz do
moiego gabinetu? Wszak już o to prosiłem
nie raz.

MELISSA.

Prawda jest, ale mam z W. Panem pomówić
w interesie ważnym, i prędkiego zaradzenia
potrzebującym.ARTST, (*z żywością.*)Ale i to prawda, że iak się Wac Pani co
przywidzi, zawsze na swoim postawić musisz.

MELISSA.

Toż to ma być warte nagany, że chcę go
odwiedzić? Bądź pewien; czynię to, com po-
winna, i co mi jest najmilszą w świecie rze-
czą.

ARTST.

Pierwszym żony obowiązkiem jest powolność.

MELISSA, (z żałowaniem.)

Prześtań, moy Panie, obwisać słowa w bawelnę, i powiedz raczey: ślepe posłuszeństwo. Rozkazywać tylko żonie, to jest według Wac Pana pierwszą dlań rzeczą: poświęcę mu zatym całą moją wolność.

A R T S T.

Nie żądań ia po W. Pani tyle ofiary. Tak o mnie rozumieć, jest to mnie bractwo tyrana, jest to mnie krzywdzić. Nie wymagam poszanowania, ale względu. Dochoway mi sekretu; dość mam na tym.

MELISSA.

Przerwać mu na inoent, maż to być urazą?

A R T S T.

Ale gdyby tu kto nadszedł, co by mógł sobie pomyśleć?

MELISSA.

Co by mógł pomyśleć? ... a wreszcie co ia dbam o to?

A R T S T.

O Boże; czy można z taką spokojnością mnie zabijać! ... Co Wac Pani dbasz o to? Możeszże zapomnieć o pobużkach; które mię niewolą do tajemna, a nawet do uniknienia; ile możności; cienia nawet suspicyi względem naszego małżeństwa?

MELISSA.

Ale to żadnym sposobem być nie może.

A R T S T.

Zapewne nie, kiedy Wac Pańi gadać będziesz.

MELISSA.

Co do mnie, bądź pewien, że i milczę, i milczeć dłużej potrafię; ale czy to być może; żeby ludzie nie widzieli...

B i j

A R T S T.

Wszystko się zapewne wyda...

M E L I S S A.

Ah! iakżeby mnie to cieszyło!

A R T S T.

A zawsze przeciwieństwo!

M E L I S S A.

Być twoją żoną, jest tak wielkie i pełne
śłodczy dla mnie szczęście, tak się tym chlubię;
iż powszechną o tym wiadomość, miałabym
za iedyne i największe ukontentowanie. Jeżeli
to moje żądanie jest u W. Pana występkiem;
występek ten, bądź pewien, jest dla mnie nader
luby.

A R T S T., (na stronie.)

Czy można się nie rozrzewnić dla tak przy-
wiązanej żony! O! kobiety! iakże was nie
kochać, skoro wy kochacie!

M E L I S S A.

Gniewasz się na mnie, a za co?..

A R T S T.

Nie, moja kochanko, ja raczey gniewam się
na siebie.

M E L I S S A.

Przecóż na siebie?

A R T S T.

Przeto, że spodziewałem się znaleźć w Wac
Pani dyskrecyą i rzetelność: przyrzekałaś mi
albowiem, w czasie jeszcze naszego kochania,
taić te śluby, póki by mi się tylko podobało;
i nikomu tego nie zwierzać, prócz Elizy.

M E L I S S A.

Prawda.

A R T S T.

Z tym wszystkim (mam Wac Pani obligacya)
kilkadzieściat może już ośob wie o tym.

M E L I S S A.

Winuy Wac Pan o to moja siostrę, nie mnie,
która o tym słowa nie mówiłam przed nikim.

A R T S T.

I pewnie żałujesz tego?

M E L I S S A.

Zapewne.

A R T S T.

A to czemu?

M E L I S S A.

Oto temu, że sekret W. Pana podaie mnie na
nieślawę i ładaiakie rozumienie. Mieszkamy już
nie dopiero razem, pełno ztąd urasta obmów,
codziēn dowiaduję się o nich. Ale nareszcie
miałam to, mając za sobą świadka wewnętrznego
niewinność. Kocham Wac Pana, czynię mu za-
tym ofiarę i z dobrej reputacyi; ale kiedy aż
do tego punktu jestem posłuszna, w nadgrode
tak wielkiej powolności, będę się go o rzecz
iedną dopraszać.

A R T S T.

Słucham.

M E L I S S A.

Proszę, żeby Szambelan przynaymniey wie-
dział o naszym małżeństwie.

A R T S T.

Szambelan? y możesz Wac Pani tego żądać?
człowiek ten, przed którym naywięcey chcę
się taić?... Moja Pani, wiedźże o tym, iż on,
choć człowiek światowy, jest iednak skryty i
straszny mędrzec, utajony pod postacią weso-

jego, który za naywiększą poczytuie słabość nie tylko ożenić się, ale nawet kochać, który oraz utrzymuie, że nie ma większey szczęśliwości nad swobodę młodzińskiego stanu? Chceźże Wac Pani, żebym iey powiedział ie-szcze więcey? Ja nawet sam, tak mocno przy nim utrzymywałem nieraz to zdanie, że gdyby broń Boże! o moim dowiedział się ożenieniu, wysmiałby mnie po całej Warszawie.

MELISSA.

Wac Pan, iak widzę, wstydzisz się być mężem?

ARTST.

Jednak przyśtanieśz Wac Pani na to, że trzeba się wstydzić nieśtałości zdania, i humoru, albo też wystawić się na szyderstwo; do czego nie mam czoła.

MELISSA.

Wszelako trzeba się koniecznie przezwy-ciężyć, i wszystko powiedzieć Szambelanowi.

ARTST.

Ale, co Wac Panią nagli do zwierzenia się?

MELISSA.

Będzie to wkrótce wiadomo Wac Panu, i przyznasz sprawiedliwość pobudki.

ARTST.

Ale niechże zaraz wiem o niey.

MELISSA.

Bardzo jest roztropna, a co większa, koniecznie potrzebna.

ARTST.

Ale proszę mnie nie trzymać w niepewności, bo mnie to niespokojnym czyni.

MELISSA.

Nie mogę Wac Panu powiedzieć.

ARTST.

Ale kiedy ja chcę tego, i proszę.

MELISSA.

Chcesz Wac Pan? otoż powiadam, że ten człowiek światowy, ten żartownis tak straszny, który na nieczułości zakłada mądrość; ile razy od Wac Pana wyidzie, tyle razy do mnie wstępnie na umizgi.

ARTST.

Do Wac Pani?

MELISSA.

Tak jest, do mnie.

ARTST.

Czy to być może? żeby...

MELISSA.

Dla niezwaśnienia was milczałam dotąd, ale nareszcie ta iego ustawiczna natrętność sżazie mi się przykrą. Aby więc zaprzestał, nie widzę skuteczniejszego środka nad obławienie mu słubow naszych. Stanowże Wac Pan teraz, a prędko, kto z nas dwoyga ma mu to powiedzieć. Masz do tego nie więcej iak dzień ieden. Dłużej nie mogę milczeć. (odchodzi.)



SCENA VII.

ARTST sam.

ZACZEKAY Wae Pani... Już poszła. co za kłopot! mamże iey wierzyć? ... To być nie może. Szambelan... Zapewne to iey wynalazek, umyślnie dla tego, żeby Nie Znam iey roztropność, kżywdziłbym ią takim rozumieniem... ale nareście co tu w tey mierze począć... Szambelan kocha moią żonę.... Już ci mówiąc prawdę: cieszę się z tego... Co zaś? że moią żonę kocha i do niey się umizga?... Nie jest to wrzeczy samey bardzo miło... honor, honor moy mi nie dozwala... O iakże to rzecz głupia, mieć żonę!... Muszę pdyść do niego, i zręcznie badać, aby mi sam na siebie swoią wyznał słabość. Im bardziey on okaże się zakochany, tym lepsza moia: a potym zobaczę, co przedsięwziąć.

Koniec Aktu pierwszego.



A K T II.

Teatr okazuje salę.

S C E N A I.

ELIZA, REGINKA.

ELIZA.

MA tu przyiść Szambelan?

REGINKA.

Tak jest, Mościa Dobrodziko.

ELIZA.

Jakże ci się zdaie, Reginko, czy kocha on mnie?

REGINKA.

Rozumiałabym, że nie.

ELIZA.

Przyznaię ci się, że mnie to mocno uraża.

REGINKA.

Jest czemu wierzyć, ale też to człowiek tak nieużyty, że go naygładsza twarz nie powabia.

ELIZA.

Dla tego też chciałabym go uśdlić: a może
uwziąwszy się, i dokazałabym: tyle to ja w tej
mierze mam mocy i zręczności?

REGINKA.

Skoro tak, życzyłabym doświadczyć szczę-
ścia.

ELIZA.

Mówisz to do prawdy?

REGINKA.

A czemuż nie?

ELIZA.

Otoż daię ci moje słowo, że nie zabawem
będzie do mnie wzdychał. Wkrótce zobaczysz
go u nóg moich.

REGINKA.

A gdy się szczerze zakocha, cóż Wac
Panna daley z tym poczniesz?

ELIZA.

Powiem mu na ten czas, że nim gardzę;
że mimo urodzenie, majątek, i dalsze kiero-
wania się nadzieie, nie cierpię go dla tego,
że jest fat...

REGINKA.

Już ci go *fatem* nazywać nie można. Rozu-
mie on prawda, że szczęście zawisło na obo-
jętności, ale też nie ubliża i powinienego dla
kobiet poszanowania, i byłby zapewne kocha-
nym, gdyby sam chciał kochać. Ale nareszcie
niech i takim będzie, chwalebniey jednak było-
by dla Pani kochać iego, iak Damona, bo ie-
żeli ja też znam świat cokolwiek, dorozumie-
wam się, że Wac Panna chciałabyś mieć męża
powolnego, a takim nayprędzey byłby Szam-

belan. Ludzie wielkiego świata idą zawsze za zwyczajem przyętym: kto tylko zakrawa na człowieka dworskiego, iuż tym samym bywa wygodnym mężem. Otoż sęk. Co to wadzi że mąż *fat*, kiedy cierpi, aby żona mogła mieć kochankow ze strony.

E L I Z A.

Prawdę mōwisz, Reginko.

R E G I N K A.

Jak te moje zdanie, upewniam, że subtelniejszego trudno znaleźć. Życzę zatym zaniechać Damona. Skoro nie jest dobrze urodzony, przeto samo mężem Wac Panny być nie może.

E L I Z A.

Mylisz się bardzo, Reginko. Mimo te przeciwnne pozory, mam iakoweś przeczuwanie szlachetności iego. Kto wie, może też ziakich przyczyn, które czas odkryje....

R E G I N K A.

Otoż to właśnie, takie Wac Państwa romanfowe miłości. Ja zaś mówię: że go znam. Kocha Wac Pannę, bo mu się chce znacznego majątku, który iey ciotka zapisała, żeby mógł swoy stan ulepszyć. Ale sprobuy, Wac Panna, pōydz tylko za niego, zobaczysz potym, co on iey zaśpiewa.

E L I Z A.

Cóż kiedy moje inakże jest o nim przekonanie. Alboż ia raz sama sobie podobne czyniałam uwagi? Wszak całe dwa lata unikałam tey miłości, i przekonywałam się; nie raz go, acz kochanego, martwiłam; nie raz tyfiącznych odemnie doznał przykrości. Nareszcie, aby o nim zapomnieć, wyieżdżałam: ale to

wszystko nic nie nadało. Rzekłby kto, że mnie
sczarował. Ale słuchaj no.

R E G I N K A.

Słucham.

E L I Z A.

Zdaie mi się, że jestem teraz w humorze
przyprawienia go o rozpacz.

R E G I N K A.

Cóżby to był za humor taki szczęśliwy! Jak
uważam, Wac Panna w ten czas nayrosprow-
niey czynisz, kiedy zaczniesz dziwaczyć.

E L I Z A.

Już też teraz postawię mu się surowo.

R E G I N K A.

Czemuż go zaraz lichu nie przynosi. Ale iak
on tu stanie, cóż z Wac Panny będzie, za ba-
ranek.

E L I Z A.

Nie mów, aż zobaczysz. Już się zaczynam
gotować na wyrządzenie mu takicy przykro-
ści, ... ale żeby mi się to lepiej udało, zacznij
co mówić, niech się rozgniewam. Mów co,
na przykład, o moiej siostrze.

R E G I N K A.

Bardzo dobrze. Masz Wac Panna wiedzieć,
że moja Pani już się naszemu sprzykrzyła filo-
zofowi, już się z nią raz przemówił tak mo-
cno, że kto wie, czy daley co gorszego nie
wyniknie. Upewniam, że nie będzie więcej
tak szczęśliwa, iak była dotąd. Jakże, nie po-
doba się to Wac Pannie?

E L I Z A.

I owszem, podoba się. Szczęście moiej fio-
stry, już od dwóch lat czyni mnie nieukonten-
towaną.

REGINKA.

Gniewayże się Wac Panna, a mocno, na to co powiem. Po kłótni nastąpiła zgoda, tak szczerą, tak miłą, tak pełną rozrzewnienia, że się aż rozplakał filozof. Ja nawet, mówiąc o tym, lez nie mogę wstrzymać. (*udaie płaczącą.*)

ELIZA.

To oni taką rzeczą zawsze się kochają?

REGINKA.

Ale iak! Wszak to on teraz jest iej niewolnikiem.

ELIZA.

Co za niebaczny.

REGINKA.

Im więcej ona przewodzi, tym on kontentniejszy.

ELIZA.

A iuż też tego nadto. Co u kątą się dzieie! Nie poymię, iakimi wdziękami moja siostra tak daleko zniewoliła sobie tego zacnego człowieka! Jeszcze, gdyby dla mnie, iak ia ferdecznie pragnęłam go za męża; nie byłoby to od rzeczy, ale dla moiej siostry! prawdziwie, nie czuję się od złości.

REGINKA.

Utrzymuyże się Wac Panna w tym humorze. A Damon, iak też jest w iej sercu?

ELIZA.

Jak nayokropniejszy poczwara.

REGINKA.

Bardzo dobrze. Podobno też i on nadchodzi właśnie w porę. Zostawiam Wac Państwa sam na sam, ale broń Boże zgody! (*odchodzi...*
Eliza siada niedbale wkrześle, i zamyśla się.)

S C E N A II.

ELIZA, DAMON.

DAMON, (przypatruje się czas nieiaki Elizie, która udaje, że go nie widzi.)

PANI, iak uważam, chce być fama.

E L I Z A.

Potrzeba było tego się domyślić zaraz, bez pytania.

D A M O N.

Chociaż tak dla W. P. Dobr: przykry, nie mogę jednak na sobie przenieść....

E L I Z A, (z miną pogardzającą.)

Wac Pana, widzę, inaczey pozbyć nie można, tylko unikać go.

D A M O N, (na stronie.)

Zwawieńka Jmość! muszęż ia być potulnym.
(*usiada w kącie.*)

E L I Z A. (z żywością.)

Proszę ztąd wyjść zaraz.

D A M O N.

Bardzo dobrze, ale niech wiem przynajmniej za co?

E L I Z A, (z miną obojętną.)

Zdaie mi się, że nie mam przyczyny w żadne z Wac Panem wchodzić explikacye.

D A M O N.

To prawda. Ale jeżeli moja tak czuła i rzeczna miłość...

E L I Z A, (porywając się z krzesła.)
Zapewne powiesz mi to, ni owo.

D A M O N.

Otoż już milczę.

E L I Z A. (podryżniając.)

Tak czuła i rzewna miłość. Proszę mi nigdy nie mówić takich słodczy, bo się niemi brzydzę; i być pewnym, że gusta nasze mocno się różnią... Tak czuła i rzewna miłość. Jaki mi Adonis!

D A M O N, (na stronie.)

Darmo! muszę ulegać iey dziwactwom.

E L I Z A.

Pewnie masz mnie za niewiniątko?

D A M O N.

Ah! broń Boże. Znam to dobrze, że Wac Panna nie jesteś niewiniątkiem.

E L I Z A.

Cóż to Wac Pan chcesz przez to rozumieć? Zaraz wyjść stąd proszę.

D A M O N.

I owszem. (*chce odchodzić.*)

E L I Z A, (przytrzymując go.)

Nie, Mośpanie; nie poydziesz. Chcę pierwey wiedzieć, co znaczy ten ucinek ze złośliwym wymówiony uśmiechem?

D A M O N.

Naymnieyszey w tym nie miałem myśli: Samaś go W. P. Dobr: podała w wątpliwość. Mówiłaś, że z nią postępuję, iak z niewiniątkiem; ia wymawiając się z tego, powiedziałem, że nie.

E L I Z A.

Ale, coś Wac Pan przez to chciał rozumieć?

D A M O N.

Chciałem przez to rozumieć, ... Ale iak to tłumaczyć, co samo przez się jest widoczne.

E L I Z A, (ze złością.)

Złośliwy jesteś.

D A M O N.

Ja?

E L I Z A.

Moy Boże! co za skromne dziecko! Wac Pana by to potrzeba nazwać niewiniątkiem!

D A M O N, (śmiejąc się.)

Może równie, iak Panią.

E L I Z A, (z gniewem.)

A już też to tego nadto. Poczekay Wac Pan, poczekay, musiz mi dać za to satysfakcyą.

D A M O N.

Całym sercem, całym sercem: choćby też i zaraz.

E L I Z A.

A to w iaki sposób?

D A M O N.

Chociaż W. P. Dobr: jesteś stroną wyzywającą, ia jednak przez powolność winną dla dam; zostawiam iey obracanie czasu, miejsca i oręża. Ale, że wdzięki tak śliczne mogłyby mnie swoim przyćmić blaskiem, nie zdawałołoby się Pani, kończyć naszą zatargę... tak... naprzykład... w nocy? Aha! a czego to się Wac Panna uśmiechasz?

E L I Z A.

Już ci choć rozgniewana, śmiać się jednak muszę z tak pulstego żartu. (śmieje się na głos)

D A M O N.

D A M O N.

Jakże mnie to cieszy, że w iey humerze po-
trzebam iść. Ale do przeprawy ma być.

E L I Z A, (przechodząc miłą sirową.)

Mylisz się Wasz Pan, owżem poprzytygam
mu gniew wielki.

D A M O N. (na froncie.)

Co za ośmieszanie w takich dwunastkach! ale
mam na nią sposób. (do niej.) Widzę, że
już odpuścić mi nie podziwiał się nie mogę, acz
nie wiem jakie przewinienia pozabawili mnie
i ey szacunku, i ścisłości nienawści. . . Cóż
robić! jakże nie władnie twym sercem i skłonno-
ścią. Czuję to, i umię z rozpacz! Lecz na
udręczenie twoje, okropna! oddać mi sprawie-
dliwość po mojej śmierci, będziez mnie za-
łować, ale nie wale. (odchodzi.)

E L I Z A, (przechodząc w tliłość.)

Dawaj! Dawaj!

D A M O N, (zaczynając oglądając na nią.)

O! nadszła okropna chwila!

E L I Z A, (na froncie.)

Jakże on u mnie szczęśliwy. (głośno) Słu-
chajno.

D A M O N.

Niechęć; żebyś mnie załowała. (odchodzi.)

E L I Z A.

Ale ja chcę, żebyś tu został.

D A M O N.

Otoż zostań, ale tylko przez grzeczność:

E L I Z A.

Przez grzeczność?

Filozof Sonaty

C

D A M O N.

Niechże i z posłuszeństwa, kiedy się tak
Wac Pannie podoba.

E L I Z A.

Jakżem nieszczęśliwa!

D A M O N.

Nieszczęśliwa! dla czego?

E L I Z A.

Ze się nie mogę obeysć bez widzenia ciebie.
Ah! iakżebym rada tyle go nienawidzić, ile
kocham...

D A M O N.

Czemuż nie? Wszak już przyśięgłś niena-
widzieć mnie.

E L I Z A.

O! iakże kłamałam!

D A M O N.

Co za osobliwe dziwactwo! możnaż po-
przyśiegać wieczną ku mnie nienawiść, kiedy
wszystkie moje starania...

E L I Z A.

Otoż przeciwnie teraz przyśięgam.

D A M O N.

Któreyże przyśiędze mam wierzyć?

E L I Z A.

Ostatniey; bo serce należy do niey.

D A M O N.

Ma to już być szczerze?

E L I Z A.

Nie inaczey; daę ci moje słowo. Odmianę
tę we mnie zaczął rozum, a dokonało serce.
Rozum cię mój krzywdzi, lecz serce mówi za
tobą.

D A M O N.

Zyczę więc serca zawsze nie rozumu słuchać. Ale, za pozwoleniem, niech też wiem jeszcze, za co Wac Panny rozum mam przeciwko sobie?

E L I Z A.

Oto pragnie się mścić tego, że nie może moich urządzić sentymentów. Rozum często przytłumia we mnie skłonność dla W. M. Pana przychylną, a niekiedy wraza nawet nienawiść i wzgardę: zgola zawsze masz Wac Pan we mnie skłonność dla siebie, ale iey często przeciwi się refleksya.

D A M O N.

Prawdziwie! to osobliwszy zniewolenia sposób, lżyć kogo! Więc podług Wac Panny muszę mieć wiele wad w sobie?

E L I Z A.

Wiele wad! wiele wad!... Jużci chcąc wiedzieć we wszystkie, możeby się im nie znalazło końca.

D A M O N.

Bardzo proszę, niech się Pani nie raczy zatrudniać fachunkami tak mało potrzebnemi, bez których wysmienie się obeydę.

E L I Z A.

Nayprzed mimo postawę aż nadto szczerą, w rzeczy samey jesteś fałszywy, chytry, i złośliwy.

D A M O N.

Zdaie mi się owszem...

E L I Z A.

Ale proszę wysłuchać cierpliwie, bo mi to wystarczy za dobro kazanie. Potym nadto ie-

C i j

Jeś zafany w swojej zachości, i niemo-
wiał z siebie nie szczęśliw, z pyłach mi-
fcał przelina z w oczy piękne i grzeczne,
a czyżliż z nich po zaczę, jeś interio-
wany, małz w sobie wiele miłości wlać.
nawzięcy trawia czasu u got woli. I przed
zwierzał em ... Coż Wac Pan powiać na to?
taci lego obraz jeśże dlań z zaletą? Pyna-
miew. Przedeż mino to wzięko, Damono,
wyznać, że cię kocham.

D A M O N.

Chocę posydzony o chytróć, mogąż śmieć
wziąć W. Panę za wzór w szczerości?

E L I Z A.

I owżem.

D A M O N.

Zalety Wac Panny są piękność i wdzięki,
ale za to jeś durnia, nie bokoyna i cudzego
famała zachoć. Małz rozum, ale ten rozum
czymś się niekiedy nieśiać i dławozę. Ko-
to bnie pigma, i wac kochają, panto koro
ed nęz niewiszona. Jeś fczera, ale
wrenzas, liedy koro traba wyfyd. Jeś
rmanawie, jak dopiero sam tego doświndery-
lem na sobie. Każda rzecz jeś dla niew ma-
rę mówienia; chowalobyś zaś młozę. Ten
obraz nie wielkie dla Wac Panny przynoi za-
lety. rzecz żo na tyli wac, kocham cię, Elizo,
a socham kochanie.

E L I Z A.

Kochasz mnie?

D A M O N.

Kochu wzywan w swiała szczerego przy-
wiązanu mego, Elizo! wierż mi, że cię ko-

chem... wścisnąć te wady bynajmniej mnie
nie zaskradają i nie jestem gotów...

E L I Z A.

Ale mnie śmiało zaskradają: i żebyś miał mnie
brać na żonę, wiesz mi, niewianno to Was Pana
zaskradają. Ten tylko mój mąż być może,
którego mnie za doskonałą uznają.

D A M O N.

Otoż kładę rękę, iścisnę ją w rzeczy samej.
Mążcież dajcie na tym?

E L I Z A.

Nie. To niewczesne obarczanie się nic nie
dokaże nadomara.

D A M O N.

Zartowałem tylko...

E L I Z A.

Mógłbyś jeszcze po W. Panu cośkolwiek spo-
dziwać się grzeczności?

D A M O N.

Na cożem dla ciebie nie gotów!...

E L I Z A.

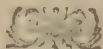
Naywiększy daj mi i y dowód, kiedy mnie
zawiesz unikać będziesz.

D A M O N.

Zartujesz, Elizo?

E L I Z A.

Nie żartuję. Proszę stąd zaraz wyjść, bo nie
mogę za mój gniew, w który mnie wprowadzasz.



S C E N A III.

ELIZA sama.

ZDRAYCO! śliczne cnot moich czynisz pochwały ... Jak on mówi, musiałabym być nierozłądną i kokietką. Co do nierozłądności; jestem nią w rzeczy samej za to, że go mogła kochać. Ale co ja mówię! a'boż się nie urodził do kochania? al'boż nie pełen wdzięku? Ah! aż nadto to jest prawda, aż nadto też to mnie martwi ... Więc jeżeli go kochała, żadnego w tym nie było głupstwa ... Co zaś do kokieteryi, nie zawadzi weyrzeć w siebie ... Jużci on nie mówi płonnie. Pocznuwam się poniekąd do niej. Ale czy to ma być do przygany? możnaż być kobietą i nie mieć chęci podobania się? Wszystkie kobiety są kokietki, albo z natury, albo z chytrości i polityki, albo nareście z ambicji. Jestem nadto, podług niego, niepokojna i zazdrośna. Prawda, słusznie mówi, bo czy też to dobrze, że zaszczęła mnie siostry smutem się? ... Jestem dumna ... I cóż to ma być z tego? możnaż być potulną znając się być piękną? ... Nie umiem milczeć ... no! już ci na to nie ma co odpowiedzieć ... Ale, jak to nie ma co odpowiedzieć? al'boż nie jestem kobietą? A kiedyż to było, żeby kobiety milczały? Nareście mam dziwactwa ... O! czy jest co nudniejszego nad jednostrajność humoru! A zatem **zważywszy wszystko na tę i na owę stronę,**

z przeproszeniem Wac. Pana. Mośpanie Damo-
nie, powiadam ci, że kłamiesz, a ia żadney
w sobie nie mam wady.

SCENA IV.

MELISSA, ELIZA.

MELISSA, (*wchodząc.*)

ZADNEY wady! ślicznie się Wac Panna
chwalić umiesz.

ELIZA.

Kontentaś Wac Pani z tego?

MELISSA.

Czemuż nie.

ELIZA.

Upewniam, że iak W. Panią zacząnę chwalić,
nic także brakować nie będzie.

MELISSA, (*uśmiechając się.*)

Już mnie Wac Panna odmalowałaś nie raz,
ale zgoła odmiennie.

ELIZA.

Bo lubię prawdę, i mówię, co myślę.

MELISSA.

Nic chwalebniejszego nad fzczerzość, ale nie
zawsze czyie przywidzenie może być prawdą.

ELIZA.

Przepraszam, przepraszam, moja Pani. Jak
ia rozumiem, tak być musi.

M E L I S S A.

Jednak Was Pauna żadney w tobie nie upatruiesz wady?

E L I Z A.

Tak, tak, żadney nie mam, i wkrótce zobaczysz.

M E L I S S A.

A to iak?

E L I Z A.

Oto pokażę, że ze wszytkim różniemy się od siebie.

M E L I S S A.

Czyż ta nasza ych charakterowa różnica ma być przeciwko mnie? Byłoby tylko owszem nie była na Was Pauny zaszkodzenie.

E L I Z A.

Tylko no Was Pauni nie rozumiey, aby ta ich udana krompucha mogła omamić ludzi. Znam ją cię bardzo dobrze. I tak słowna.

M E L I S S A.

Im mnie lepiej kto o mnie, tym sobie więcej podchlił bić moję. Uważaj, że wielu, którzy znają, mało by mogli wiedzieć na tym.

E L I Z A.

Tylko że Was Pauni z tego nie chęlp, że przewodził nad mężem godnym polutowania w swojej słabości.

M E L I S S A.

Prawda, słatem mu się wdobić, i to dla moia sotka, ale Was Pauno, rozumieć, że nie chciałabyś przetrwać tylko na tym.

E L I Z A.

Tak, tak iest, hipokrytka, podobać ma się, hoś go przez fałszywe zalety oszukała.

M E L I S S A.

Przecież Wac Panny, choć prawdziwe, nie
wzieli, skutku, i nie udało się iey kogoś znie-
wolić?

E L I Z A.

Co! mnie nie udało się? co za impertynencya!
nie udało się... i ja nie chciała.

M E L I S S A.

Wszak iestś wola starza siostra...

E L I Z A.

Mówię raz, że ja sama nie chciała, bo to nie
była dla mnie panna.

M E L I S S A.

Zi cóż mi moiego zazdrościłś szczęścia? Cze-
mu mnie kochałś jak siostrę, a nie nawiądzisz, jak
żonę Arysta?

E L I Z A.

Tego pułgłowka?

M E L I S S A.

Mościa Panno, wybaczam o siebie; ale honor
męża tak mi iest miły, że jeśli więcey co podob-
nego wyrzekniesz, rozstaniemy się. Wcze-
śnie in ofirzegu.

E L I Z A. (*ze złośliwym uśmiechem.*)

Rozstaniemy się! wielkaż mi krzywda! bez
tego z Wac Panią dłużej wytrzymać nie mogę.
Ale bądź pewna, że gdybyś nie jednego, lecz
trzydziestu razem miała mężów, potrafię od-
dać za moje.

SCENA V.

ARYST z *Księżką* MELISSA,
ELIZA.

ELIZA, (*chwytając go za rękę, tak, że mu księżka z rąk wypada.*)

DOBRE, żeś tu Wac Pan nadszedł, mam mu jedną rzecz powiedzieć, która go pewnie zadziwi. (*głośno*) Zona W. M. Pana.

ARTST, (*z pomieszczeniem.*)

Ale dla boga! już tyle razy profilem, żeby mi tey żony mi wspominać nigdy.

ELIZA. (*żwawo.*)

Co ja dbam na to; dość już tey delikatności...

MELISSA.

Jeżeli Wac Pan macz cokolwiek do mnie affektu męża.

ARTST.

Ale cóż u kata z tym mężem! proszę mi nigdy tego słowa niewspominać... () cóż wam idzie? Zapewne frazka będzie przyczyną waszey kłótni, iak zazwyczaj między kobietami.

MELISSA.

Co zaś? frazka?

ELIZA.

Sliczna frazka!

MELISSA.

Aryście, kiedy już Wac Pana tak nazywać potrzeba; siostra moja...

ELIZA.

Otoż masz Wac Pan wiedzieć, że Melissa...

ARTST. (przerwywając.)

A ja zaś powiadam, że obie macie po sobie
sprawiedliwość.

MELISSA.

Jakże mnie gniewa ta Wac Pana niewczesna
spokojność.

ELIZA.

Zarty Wac Pana właśnie są niewczesne.
Idzie tu oto...

ARTST. (przerwywając.)

Idzie tu oto, żebyście prześłali hałasów
i gniewu. Nie wchodzę w rozstrząsanie przy-
czyn waszcy kłótni, bo to siłmo częstokroć ją
odnawia: ale, jeśli cokolwiek mam u was łaski
przepróście się.

ELIZA.

Ja mam ją przeproszać za to, że mnie chciała
z swego domu oddalić?

ARTST.

Melisso! mogłaś ty to uścisnąć?

MELISSA.

Możeżże mnie Wac Pan ganić o to, kiedy
właśnie przymuszona byłam?

ARTST.

A to jak?

MELISSA.

Czyż mogłam cierpieć, aby moja siostra Wac
Pana lżyła?

ARTST.

Jeżeli tylko to, to się zgodźcie. Nigdy
kobietych obelg nie mam za obelgi.

M E L I S S A.

Cóż to ma znaczyć? Wac Pan aż do tego punktu kobietami pogardził?

E L I Z A.

Sluchawko Wac Pan, więcej czasem o wane kobiety, ias, rozchodził się, i teraci.

M E L I S S A.

U Wac Pana tylko kobiety coś znaczą, resztę masz za nic.

E L I Z A.

Prześlawy z kobietami, o niewiedzę, że się żyć nauczyły, i ledźle gra, zniechęcam.

A R T S T.

Hola! hola! słyscie, dla Ely! Dopiero klęczyły się z sobą, teraz obie dostrzaly siebie. Niechże się wam przyrównany walcówkę. Alboż to ja co powieściłam, żartuję z pał wafey? Był symnicy. Jeżeli się uaszu na obelgi kobiet, czynie to przez uśmierzanie pał wafey: respekt dla was, czeri mi nie- tkliwym na nie. Już tedy prozę zapomniała wasni i powieści je mi, żłód paczacki omy?

M E L I S S A. (zamykając drzwi.)

Pytay się Wac Pan może o Harry.

E L I Z A.

Możesz Wac Pani mówić sama.

M E L I S S A.

Już zapomniała.

E L I Z A.

I ja także nie pamiętam.

A R T S T.

Wyśmienicie! aż mi kontert. otoż po wsfy- skim. Już więc teraz rozumiam, że nie uak- y- ście o co klęcić się: a zatym walcówkę moją iak

...że albo się pogodzisz, albo obie okażecie
wielki nierozsadek.

M. L. I. S. S. A, (wrażenia.)

Należałoby przecie dyktować ci trochę mó-
wić.

E. L. I. Z. A, (z popędliwością.)

Nierozsądniejszy nawet ze dwóch, gdyby-
śmy miały być takimi; więcej ma rozumu, niż
Własc. Co za głuź!...

A. R. T. S. T.

Kłóć się, kiedy chcecie, nie przeszkad-
zam.

E. L. I. Z. A.

Kłóć się w ten czas. Kiedy mam rację, ale
boś niey nigdy. (na głos) Przeklęty gap.

A. R. T. S. T.

Wielka szkoda, sądzom się miłe bawił: bo-
żę, nie wieszając, że to wdzięku i rozumu
w tej chwili, waży okazało się? ... Ale, no,
no, zaczynacie narzucać, bardzo proszę.

E. L. I. Z. A.

Cóż nie będziecie na tych godach. Zebyś nas
mia, wysłuchać! Na dzień pogodzisz się.

M. L. I. S. S. A.

Miałem cię tylko porwać, ale kiedy tak,
odtąd przejmę.

M. L. I. S. S. A, (do Młody.)

Uściskamy się.

M. L. I. S. S. A, (szeptając się.)

Czy mi sercem.

A. R. T. S. T.

Ab! i tak, nie możecie pomóc nademną.

E. L. I. Z. A, (do Młody.)

Tak, tak, ściskam cię z całego serca.

MELISSA, (także ją ścisłając.)
Moja kochana siostró!

A R T S T.

Daley, daley, jeszcze Cię uściskajcie mocniej.
Ja zaś dla pokazania wam, ile mnie to martwi,
chcę was obie ucałować jak najserdeczniej.
(ścisła obie.)

E L I Z A.

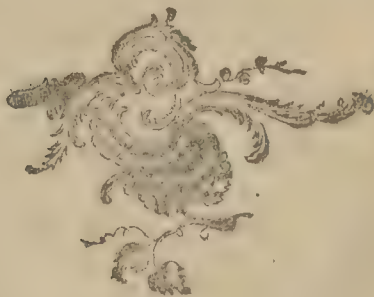
O! ty niedobry.

M E L I S S A.

Wszak to on z nas żartował?

A R T S T.

Ah! iakżem teraz kontent. (gdy Aryst ścisła je, jedną po drugiej, nadchodząc na to Futyburski, zastanawia się i przypatruje Arystowi:
Skoro przemówi, obie siostry uciekają.)



SCENA VI.
ARYST, FURYBURSKI.
FURTBURSKI.

DALEY, daley kochany synowcze. Bardzo ślicznie!

ARTST, (*stoi nienaruszony, i nie obsiera się na Furyburskiego.*)

Dla Boga! co słyszę! wszak to głos mego stryja. Otoż nowe nieszczęście.

FURTBURSKI.

Zaśnie mocno, żem Waści przerwał literaturę. Ślicznie, widzę, filozofujesz. Cóż to są za kobiety?

ARTST.

Niechcieyże Wac Pan Dobr: mówić ze mną tak surowym tonem. Są to...

FURTBURSKI.

Co?

ARTST, (*na froncie.*)

Prawdziwie nie wiem, co mu powiedzieć.

FURTBURSKI.

Cóż u diabła! czy zaniemiałeś, moy kochany? odpowiedźże mi na to, o co pytam.

ARTST.

Ale Wac Pan Dobr: niechciey się gniewać. Już tyle razy miałem mu honor przelożyć, że ta popędliwość...

FURTBURSKI.

Wasc jesteś filut, Panie filozofie. Zaraz, mówię, odpowiedź mi na moje pytanie.

ARIST.

Czemuż nie mam odpowiedzieć? ale tylko
proszę Was Pana Dobrego abyś...

FURTBURSKI.

Dopókiż to tego będzie nieszczęścia...

ARIST.

Ale, jeśli być może, bez palij; bo iak się
zalegnę, słowa wyndować nie potrafię za-
pewne...

FURTBURSKI.

Cóż to! Wasze zemną chcesz pociągować, iak
z głupim?

ARIST.

I owszem W. Pan Dobry: maś rozum wielki,
zdrowie czerstwe, mądry i szczery...

FURTBURSKI.

Cóż to stoicie się do rzeczy?

ARIST.

Znakomitość urodzenia...

FURTBURSKI.

Ale Wasze mi na miłość powiedz, co...

ARIST.

Co większa wdowa, bez dzieci...

FURTBURSKI.

Ale, bodajżeś wiedzieli ośmieli;...

ARIST.

I żyję w tej duszkiej przybudzie, która
stanowi szereg, twórcy i rozrywanych.

FURTBURSKI.

Wszystkie mnie 'złości błę na ciebie,
gadano!...

ARIST.

ARTST.

Pewien ieścieś przywiązania i respektu od
swego synowca. Z tym wżyskim, wżród
tak wielkiego szczęścia...

FURTBURSKI.

Ten hulaj synowiec, w ostatnim stopniu
gadula i balarz, już mi głowę zawrócił. Rozu-
miesz Wasę?

ARTST.

Ale...

FURTBURSKI.

Jak mi piśniesz słowo, wydiedzicę cię.

ARTST.

Kiedy mówiąc urazam Wac Pana Dobr, otoż
milczę, i odchodzę.

FURTBURSKI.

Nie, nie parliczu, nie można tu milczeć!
Powiedź mi Wasę zaraz, co to były za dzie-
wczęta?

ARTST.

Nie mam żadney racyi taenia, są to siostry...

FURTBURSKI.

A więc co?

ARTST; (pomyśliwszy trochę.)

Z Podłaś.

FURTBURSKI.

Cóż dalej?

ARTST.

Odieżdżają teraz na wieś; i zagnałem się
z nimi. Otoż rzecz cała.

FURTBURSKI.

Chyba, że tak. Słuchajże, moy synowcze,
przychodzę tu w interesie ważnym, z którego
będziesz kontent.

Filozof żonaty:

D

A R T S T.

Tylko proszę mi, Mości Dobr: nie wiele czasu zabierać, bo mam jeszcze...

FURTBURSKI.

Chcę cię, mój kochany ożenić.

A R T S T.

Ożenić?

FURTBURSKI.

Pewnie Waść nie kontent?

A R T S T.

Nie to Mości Dobr: ale...

FURTBURSKI.

Co większa przywiozłem z sobą przyszlą walciną żonę.

A R T S T.

Niechże mi się godzi spytać, kto jest ta dama?

FURTBURSKI.

Moja pasierźbica.

A R T S T., (na stronie.)

Zginałem!

FURTBURSKI.

Cóż to? pewnie nie trafilem w gust? he?

A R T S T.

Owżem, Mości Dobrodzieiu.

FURTBURSKI.

Jest to partya, mój kochany... ale iaka partya!

A R T S T.

Prawda to jest, z tym wszystkim daruż Wac Pan Dobr: mojemu podziwieniu...

FURTBURSKI.

Takem się zfatygował w podróży, że muszę trochę odpocząć. Chodźmy do twego pokoju,

muszę się posilić. Wszak masz tam podobno do-
brą Persykę. (odchodzi.)

SCENA VII.

ARTYST, sam.

O Toż nowy kłopot! będzie tu hałasu i
gniewu!

SCENA VIII.

ARYST, REGINKA.

REGINKA.

PAN Szambelan, dowiedziawszy się, że go
Wac Pan Dobry szukałeś, kazał mu powiedzieć,
że dziś tu będzie na obiedzie.

ARTYST; (na stronie.)

To znowu co nowego. (głośno) niechże
mu dadzą znać...

REGINKA.

Owczem nie potrzeba mu dawać znać.

ARTYST.

Czemu?

REGINKA.

Bo tu jest w naszym domu.

ARTYST.

Powiedźże mu, iż strzy moi...

REGINKA.

Nim się z Wac. P. Dobr. zobaczy, wstąpił
tym czafem do mojej Pani.

ARTST.

Jak to! u niej jest?

REGINKA.

Nie inaczej. Właściem go odeszła całego
w umizgach. Teraz zapewne klęczy przed lmo-
ścią, ale to wszystko dla zabawki tylko. Wszak
i Pan nie rozumie inaczej.

ARTST, (z wymuszonym uśmiechem.)

Zapewne że nie. (na stronie) Co za kłopot!
Inoy Boże! (do R-ginki) powiedzże mu; ale
zaraz... nie nie... daj pokoy... nie trzeba nic
mówić... muszę się z nim sam zobaczyć, i dla
tego idę natychmiast...

REGINKA.

Do czego się śpieszyć. Skoro on ma zaba-
wę z lmością, zapewne mu się przykrzyć nie
będzie, choćby najdłużej czekał.

ARTST, (pomieszany.)

Wierzę, wierzę, ale pilno mi jest z nim
mówić.

REGINKA.

Ale gdzież ta będzie rozmowa.

ARTST.

W moim gabinecie. (Reginka odchodzi.)

SCENA IX.

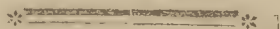
ARTST sam.

O BOZE! cóż za okropna sytuacja! wielkie
szczęście, jeśli nie dojdzie zawrotu.

Koniec Aktu drugiego.



A K T III.



S C E N A I.

SZAMBELAN sam.

OSOBLIWSZYŻ to oryginal ten stry-
Aryśta! jak żyję, większego nie widziałem gru-
bianina. Czy podobna wytrzymać z takim
Bartkiem?... Filozofia Aryśta. nie może mieć
lepszego pola do ćwiczenia się. Niechże tam,
jak może, tak go się pozbywa; ja tym czasem
pójdę do Meliffy. Ale oto i on, widzę.



SCENA II.

ARYST, SZAMBELAN.

ARTST.

WYBACZ, Szambelanie, że stry mi tak niedyskretny...

SZAMBELAN.

Owżem, Wac Pana żuign serdecznie. Bądź pewien, że czulem iego umartwienie, iak prawdziwy i dobry przyjaciel.

ARTST.

Wniysć aż do mego gabinetu, przerwać nam rozmowę, nahalałować się, naburczyć i ieszcze Wac Pana ofuknąć! prawdziwie nie mogę nawet pomyśleć o tym bez zawstyżenia.

SZAMBELAN.

Czy skończyliście z sobą?

ARTST.

Bardzo daleko od tego. Koniecznie chce, żebym się żenił z iego patierzbicą.

SZAMBELAN.

Alboś ty waryat żenić się? Przecież znam cię, żeś filozof, a ieszcze iaki! niech sobie stry wcześniej wyperśwadić, że synowiec iego ma rozum.

ARTST, (na stronie.)

Oczywiście drwi ze mnie! czy tylko już nie wie, żem się ożenił! (głośno) To prawda, że nie raz wysmiewałem tych bidnych mężow...

S Z A M B E L A N.

Pewnie chcesz odtąd być dla nich grzeszniejszym?

A R T S T.

Zaczynam mieć trochę politowania nad ich stanem.

S Z A M B E L A N.

Moyże ty chłopczyńo! czy tylko się waś nie ożeniłeś... Latają tu wieści... ale ja temu nie wierzę, i już polaiałem nawet kilku baiażzow.

A R T S T.

Wdzięczny ci za to jestem.

S Z A M B E L A N.

Jażbym miał cierpieć, żeby cię aż do tego punktu krzywdzono?

A R T S T.

Jak to, krzywdzono? albożby moja sława szkodowała co na tym?

S Z A M B E L A N.

A dla Boga! Czyż można się oto pytać! Wac Pan, który tyle okazałeś mądrości, i stoickiej filozofii! który tyle mówiłeś za bezżennością! który tyle utyskiwałeś nad nierozsądkiem ludzi rozumnych, poddających się pod ciężkie małżeństwa iarżmo! który całe życie filozofem i młodzianem być oświadczyłeś się... Gdyby nań, broń Boże, cień padł suspicji o ożenienie się, miałbyś co do czynienia ze wstydkami Pannami, mężatkami, wdowami: słowem, we wszystkich wyszydzonoby cię kompaniach.

ARTST, (na stronie.)

I sprawiedliwie. Zginałem, iak się dowie,
żem już żonaty.

SZAMBELAN.

Widziśz moją szczerłość. która, iak wiemy,
bardzo jest teraz w przyjaźniach rzadka.

ARTST.

To prawda.

SZAMBELAN.

Melissa jest tylko twoją przyjaciółką. Wszak
tak?...

ARTST, (prędko.)

Tak jest, przyjaciółka tylko.

SZAMBELAN.

Tak też przed wszystkiemi mówiłem, i ro-
zumiem, że możnaby poufałe zwierzyć ci się,
gdyby ią kto kochał?

ARTST, (zatrudniony.)

Jużci to ... mówiąc prawdę... iak się komu
podoba (na stronie) Co za kłopot!

SZAMBELAN.

Więc przyznaję ci się, że ią kocham.

ARTST.

Zartujesz?

SZAMBELAN.

Na poczciwość, że kocham.

ARTST.

Nie wierzę, nie wierzę.

SZAMBELAN.

Jakem twoy. przyjaciel.

ARTST.

Tym gorzej. Jeśli to prawda, mocno wsty-
dzę się za ciebie. Alboż i ty nie jesteś taki fi-

iozof, iak ja, alboś także nie szydził z małżeństwa?...moja rada, zaniechaj Melissy.

SZAMBELAN.

Darmo; już się stało. Rada ta, choć tak mądra i przwiastelika, nie jest w porę, kiedy moją miłość pomknąłem, aż do myślenia o iey zameźciu?

A R T S T.

Zmiłuy się, nie czyn tego głupstwa, bo będziesz wysiniary, a odemnie naypierwey.

SZAMBELAN.

Wiadome ci, Aryście, moje urodzenie i substancya. Familia przynagla mnie, abym się żenił, użyję więc tego pozoru. A nareszcie iestem też taki człowiek, że sam wraz z drugimi gotowem w tym punkcie śmiać się. Zaniechawszy więc tych wszystkich dowodów, i wstępow, iak raz umyśliłem, tak kończyć będę, byleś mi tylko swolew nie uchylał pomocy.

A R T S T.

Co! iabym cię miał do głupstwa doprowadzać.

SZAMBELAN.

Bądź cokolwiek, na twoiey w tym razie polegam pomocy, i proszę mi iey nie odnawiać.

A R T S T. (z gniewem.)

Bardzo się na niey, upewniam, zawiedziesz.

SZAMBELAN.

Czegoż wpadaś w cholerę? Melissa zdaie mi się być na twoie rady powolną, a zatym...

A R T S T.

A zatym pomagać ci do głupstwa nie chcę.

SZAMBELAN.

Otoż i ona nadchodzi. Proszę ją przynajmniej nie odwożać od tego, żeby szła za mną.

ARTYST.

Co o to, to bądź spokojnym.

SCENA III.

ARYST, SZAMBELAN, MELISSA.

MELISSA, (na sronie.)

BARDZO jestem ciekawa wiedzieć, czy się też zwierzył Szambelanowi.

SZAMBELAN, (do Melissy.)

Wszystkiego, Pani, zwierzyłem się przyjacielowi naszemu.

MELISSA.

Czego się Wac Pan zwierzyłeś?

SZAMBELAN.

Naszego sekretu.

MELISSA.

Alboż mamy jaki? kochasz mnie Wac Pan, chcę temu wierzyć; ja Wac Pana nie kochem. Więcy też podobno nic nie ma między nami.

ARTYST, (do żony.)

Wac Panna Dobr: mówisz widzę bez ogrodki.

MELISSA, (do Szambelana.)

Masz Wac Pan więcy co mówić z Jegomością? mów.

ARTST, (do Szambelana.)

Mów wszystko szczerze.

MELISSA.

Cdź Wac Pan na to odpowiesz?

SZAMBELAN.

Bardzo wiele.

MELISSA.

Naprzykład? Ruchamy.

SZAMBELAN.

Zaczynając porządkiem, mówię najprzód o Jęgomości (*pokazuje na Arysta*) Rozumiałem nie dopiero, że Aryst Wac Pannę Dobr kochał, i miał w zamiarze iey zamężcie; ale teraz wywiedziony zostałem z tego błędu, gdyż przyznał mi się, że cały zaprzątniony filozofią, był tylko, i jest dotąd iey przyjaciele. To przyjaźni wyznanie czyni mnie odtąd śmielszym... (*gdy Szambelan mówi, Melissa spogląda na Arysta; wznosi ramionami, a Aryst przez gesty każe iey milczeć.*)

MELISSA, (cicho do Arysta.)

Słyszysz, co mówi?

ARTST, (cicho do żony.)

Zmiluy się nie mów nic.

SZAMBELAN, (do Melissy.)

Jeżeli to jest śmiałość, rzec się dla Wac Panny Dobr swoich swobody; wyznać, że serce moje najwyższą dla niey tchnie miłością; że pragnę być w iey prawie do zgonu...

MELISSA.

Co co?

SZAMBELAN.

Ze chcę poświęcić życie i majątek mój, tudzież oddać się iey przez nieścargane małżeń-

skie związki; daruj mi to, Pani, a racz przyjąć oświadczenia.... (*upada jej do nog.*)

ARTST. (*na stronie.*)

Jak smutną przychodzi mi udawać rolę.

MELISSA. (*do Szambelana.*)

Mospanie, proszę wstać, bo zaraz wyjdę.

SZAMBELAN.

Taż to cała nagroda miłości tak mocney i stateczney!

MELISSA. (*do Arysta.*)

I Wac Pan to cierpieć możesz?

ARTST. (*cicho do Melissy.*)

Zmiału się, wytrzymaj jeszcze. (*głośno*)

Poznać Mościa Dobr: że ja Szambelan mocno kocha, że się dla niego zniewolić nie chcesz, że daremne są jego usiłowania, że powinienby wszystkiego zaniechać: należy jednak, abym wiedział pierwey, jeśli Wac Pan Dobr: nie dałś jakiej otuchy miłości jego: w tym razie albowiem byłabyś winną. Nie prawda?

MELISSA.

Prawda. Jeżeli Imci choć najmnieyszą kiedy uczyniła nadzieję, niech mówi.

ARTST.

Jeżeli moja przytomność ma przeszkadzać do otwartego wymówienia sobie, wychodzę.

MELISSA. (*do Arysta.*)

Ta zbytńia dwiskrecya gniewa mnie. Proszę zostać. A Wac Pan Mości Szambelanie powieść wszystko szczerze; nie mamy albowiem racyi wyrzekać się naszego przyjaciela. Trzeba, żeby wiedział o wtyżtkim.

SZAMBELAN.

Otoż bez najmniejszego dodatku wszystko powiem szczerze. Niech i to nowym będzie dowodem mojej powołności na rozkazy Wac Panny Dobr:

ARTST, (stawiąc między niemi.)

Tym lepiej. Abym dokładnie mógł być wiadomy całego między Wac Państwem interessu; powiedz mi Wac Pan, jeżeli bywając u Jmości Dobrodziki mogłeś, czy to z dyskursu, czy z weyrzenia, czy z podobu zabawy powziąć iakąkolwiek otuchę? Proszę przedemną najmniejszey nie tać okoliczności.

MELISSA, (tonem urażoney do Szambelana.)

Co więkta, małz Wac Pan wiedzieć, że Jmci to nie interessnie więcej, tylko iak przyjaciela, gotowego mnie upomnieć, jeżeliby iaku do mnie z strony Wac Pana Ruznie okazała się być pretensya.

ARTST.

Tak, tak; iak przyjaciela. Proszę mi ufać, i być pewnym, że nie o nieżkam naganić...

SZAMBELAN. (do Arysta.)

Otoż zobaczysz, iak daleko szczerzyn będę.

ARTST, (na stronie.)

Drzę cały, żebym się czego mniey miłego nie dowiedział. *(głośno)* słucham.

SZAMBELAN.

Zaczynając zaraz od interessu, mówię, że gdym Jmości Dobrodzice pierwszy raz moją oświadczył miłość, rozśmiała się na to, ale tak bardzo...

ARTST.

Jeszcze dotąd nie jest winna. Cóż dalej?

SZAMBELAN.

Ze urażony tym mocno, zakląłem się nigdy iey odtąd w życiu moim nie widzieć. W kilka dni potym wychodząc od ciebie, byłem u niey, i spodziewałem się nie zawodnego z iey strony żartu, względem tak prędkiego przysięgi moiey złamania. Ale zamiast tego, znalazłem ją bardzo zimną, straciłem zaraz śmiałość, i natychmiast, bez pożegnania nawet wyszedłem.

ARTST.

Cóż daley?

SZAMBELAN.

Po trzech miesiącach ciągłego nie bywania. Powróciłem bardziey ieszcze roskochany, oświadczyłem iey to; i przyjęła mnie łaskawie.

ARTST.

Łaskawie?

MELISSA, (uśmiechając się.)

Mów Wac Pan daley.

SZAMBELAN.

Potym obiecała mi sama podać sposoby, któremibym mógł się iey podobać: chciała iednak pierwey, ażebym ją upewnił o stosowaniu się do nich.

ARTST, (mocno zmieszany.)

Bardzo dobrze.

SZAMBELAN.

Przyrzekłem, nie domyślając się iey zamiaru. Gdy na to, iak naysolemnieysze z moiey strony zasłzy przysięgi... Słuchay Arystacie to, co daley powiem, strasznie cię zadziwi.

ARTST, (z gniewem.)

Kończcie prędzey, maszli kończyć.

SZAMBELAN.

„Szambelanie, (rzekła do niego tonem ob-
jętym) oświadczenia Wac Pana czynią mi
„honor; ale nie pewniejszy nadto, że go
„kochać nie mogę. Siostra moja pięknieyła
„odemnie, mile zapewne je przyjmie; jeżeli
„więc chcesz mi się podobać, staraj się o nią.
„Mając tak lubą żonę, zapomniałbyś o mnie.
„Te są dwa dla W. Pana szrodki; albo kochay
„moją siostrę, albo też, jeśli od tego jesteś dale-
„ki, proszę, nigdy u mnie więcej nie bywać
„odtąd. „

ARTST, (już spokojniejszy.)

Mówiąc Prawdę; bardzo roztropnie mówiła.

SZAMBELAN, (z gniewem.)

Te przysiędzenie twoje, właśnie jest nie
wczesne.

ARTST.

Cóż na to odpowiedziałeś Jmości Dobro-
dzice?

SZAMBELAN.

Rozgniewałem się mocno, że mnie tak po-
deszła... Ale nie tu jeszcze koniec.

ARTST.

Jeszcze nie koniec? (na stronie) byle tylko
nie był żałośny!

SZAMBELAN.

Nadto; dać mi jeszcze okazją do zawisici.

ARTST.

Względem kogo?

SZAMBELAN.

Tego zapewne nie wiem, ale, okrutna! przy-
sięła mi, że się w kim innym kocha. „Nigdy
„(Słowa są icy) „nikt nie będzie mógł dzielić
„za-

„szacunku i serca mego z tym, który w sekrecie one posiada. „

ARTST, (do Melissy.)

Mówiłażes to zapewne Wac Panna Dobr:

MELISSA.

Prawda, mówiłam, i nie wstydzę się toż samo drugi raz powtórzyć. Kocham go i do zgonu życia kochać będę.

ARTST, (do Szambelana.)

Prawdziwie pojąć nie mogę, iakbyś Jmość Dobrodzikę miał kochać po takim wyznaniu; a ieszcze ty, któremu same się natrącają dziewczęta.

SZAMBELAN, (zwestchnieniem.)

Taka to pospolicie bywa kara serc obojętnych i nienżytych, że nareszcie kochają bez wzajemności. Ale też, jeśli się raz tej miłości pozbędę, pomścę się przez tyfiączne wzgardy nad tą plcią okrutną.

ARTST.

Masz rację. Wierz mi, nie zaniebdyway, i pośpiesz się co rychley.

MELISSA.

I owszem będę kontenta, że mną wzgardzisz.

SZAMBELAN.

Tak; pomścę się... Ale dość tego. Aryście; podź za przykładem moiey szczerosi i. i powiedź, czy tylko nie dla ciebie jestem odrzucony?

ARTST, (zmiészany.)

Zostawiam tu Wac Państwo o o e, abyście z sobą śmielcy iadwić mogli. (do Szambelana) może bezemnie więcey nad Jmość Dobrodzikąperiwa-

perswazyje twoje dokazać potrafią: a co do iey zameżcia, bądź pewien, że mu się przeciwie nie będe. ieśli tylko nastąpić może. Lecz iak znam Melissę; skoro kto raz stał się już godnym iey serca, wierź mi, Szambelanie, daremne będą starania twoje, i życzę, oddaj lepiej swoje serce inney piękności. Wszak jestem twoy przyjaciel, żaluję cię, i wcześniej odradzam. (*odchodzi.*)

SCENA IV.

MELISSA, SZAMBELAN.

SZAMBELAN.

TEGOMOSC wyszedł pewny serca Wac Panny. Przenika go, widzę, na wskroś!

MELISSA.

Może i bez przenikania znać go dobrze, bo się przed nim nie taię z niczym.

SZAMBELAN.

Czemużbym ja nie miał być tak szczęśliwym?

MELISSA.

Cóż z tym robić! on ieden moją ma dla siebie ufność, ja też na jednym chcę przestać przyjaciela.

SZAMBELAN.

Taki przyjaciel wiele ma coś podobieństwa do szczęśliwego amanta?

MELISSA.

Czy amant, czy przyjaciel, dość że jest odemnie szacowany, a mówiąc szczerze, nie wzdręgnęłabym się nawet pomyśleć i o czym więcej.

Filozof żonaty.

E

SZAMBELAN.

Lepiej powiedzieć wyraźnie, że go Wac Panna kochasz?

MELISSA.

Wolno rozumieć, iak się podoba. Upewniam, że Wac Pana ani tak, ani inaczej przekonywać nie myślę.

SZAMBELAN.

Niechże i tak nareście będzie. Ale proszę mi przynajmniej powiedzieć, w czym on ma być lepszy odemnie?

MELISSA.

Wac Pan ma sz swoy gust i przywidzenie, ja mam moje zamiary i reflexyve. A do tego wiadomo Wac Panu, że serce, kiedy się dla kogo zniewala, zniewala się częstokroć bez przyczyny.

SZAMBELAN.

Już tedy Pani wzdycha do filozofii?

MELISSA.

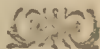
Tak nie inaczej; do filozofii.

SZAMBELAN.

Ey! coś mi się jeszcze wierzyć nie chce.

MELISSA.

Otoż Wac Pann raz ostatni powiadam, że sercem moim więcej nie mogę władać, choćby mnie największa w świecie spotykała partya. Kocham już jednego, i kochać go do zgonu życia będę. Kląnam uniżenie. (odchodzi.)



SCENA V.

SZAMBELAN *Sam.*

NIE tak mnie martwi iey obojętność, iak dziwi nieporużony w kochaniu statek! Kobieta stała!... a! to jest dziwopłod nowo utworzony na moje udręczenie!... Przecież, mimo te uwagi i rady Arylla, kocham ją tak zapamiętale!... Ale postrzegam tę śliczną siostrzyczkę, z którą Melissa chce mnie pośwatać... Nie zawadzi oświadczyć się iey, nie tak przez powołność dla Melissy, iako raczey umyśłem pomsty, i dla dogodzenia samemu sobie.

SCENA VI.

SZAMBELAN, ELIZA.

ELIZA, (na stronie.)

OTOZ to ten zuchwały Szambelanek. Cierpieć go nie mogę. Ale że się Jegomość pokazuje być nieużytym, muszę go usidlić. Idzie tu o mój honor. A do tego, aby Damona wprowadzić w zawias, potrzeba mieć dla niego rywala.

E ij

SZAMBELAN.

Ah! iakże, Pani, ten moment jest dla mnie niebezpieczny!

ELIZA, (na sronie.)

Ten początek, wróży mi pomyślność.

SCENA VII.

SZAMBELAN, ELIZA.

*Damon w głębi teatru podśluhuje ich,
sam niewidziany.*

SZAMBELAN, (wrzżkomo odchodząc.)

BO IĘ się stawie mocy wdziękow twoich,
Pani!

ELIZA, (w poślawie umiloney.)

Wdzięki moje aż mudo są blane, żeby się
miały stawiać przyczyną tak wielkiego ustra-
żenia.

SZAMBELAN.

I owszem, Pani! wyznaię, choć niechętnie,
że serce moje od dawna już wzdychało do niej,
lecz nie miałem śmiałości...

ELIZA, (na sronie.)

Nie trzeba było i mówić, bom się zawsze
spodziewała tego. (do Szambelana) Podobnie
i ja z niecierpliwym już nie dopiero byłam dla
Wasz Pani zachwyceni.

SZAMBELAN.

Jakże! to tylko sam szacunek będzie dla
mnie nadgodą kochania i tey...

ELIZA.

Jak dla Was Pań, kiedy tyle pokazujeś
obojętności, zdaje mi się, że i szacować go,
już jest trochę nadto.

SZAMBELAN.

Ale jeżeli ja na przykład dam się zniewolić
iej wdziękom, jeżeli to wyznam przed nią?..

ELIZA.

Nie mogłabym wierzyć.

SZAMBELAN.

Dla czegoż? Pani?

ELIZA. (zastanawiając się wachlarzem.)

Bobym nie śmiała pretendować tak wielkie-
go szczęścia.

SZAMBELAN. (z udaną radością.)

Ah! niechże cię nie wstydzi tak miłe wyzna-
nie; i w nagrodę moiego przywiązania, racz
dokończyć...

ELIZA.

Dejże pokoy, Szambelanie. Mimo te Was
Pańa oświadczenia, znam go nie dopiero być
płochym i nieśmiałym.

SZAMBELAN.

Czyż godzi się tak mnie krzywdzić?
o wszystkim, przytłaczam. że cię kocham. i kochać
na zawsze pragnę. (na stronie) Nie można do-
faktniey skłamać.

ELIZA.

Nie śmiem Was Pańa o wzajemney a tak
mocney upewnić miłości, czuję jednak, że
serce moje mówi za nim.

SZAMBELAN.

Cóż przecie mówi te ferduśzko?

ELIZA, (na stronie.)

Mówi, że skłamałam.

SZAMBELAN, (na stronie.)

Kocha mnie.

ELIZA, (na stronie.)

Otoż niedawno tak nieużyty, iak teraz roskochany!

SZAMBELAN, (na stronie.)

Jakże te kokietki są łatwowierne.

ELIZA, (na stronie.)

Jakże miłośnik pierwszy raz kochający śmieszny jest!

SZAMBELAN.

Pani, iak widzę zamyśliła się?

E L I Z A.

Rozważanie ślicznych Wac Pana przymiotów zaprzątnęło mnie przez czas nieiaki.

SZAMBELAN.

Jakże się nasze myśli zgadzaia! wszak to i ja o tym samym myślałem.

DAMON, (wpadając między nich.)

Cóż to znowu! Serca Wac Państwa, które rozumiałem być trochę mężnieysze, tak się prędko, iedno drugiemu wzdróć?

ELIZA, (na stronie.)

Otoż zazdrośnik! Właściem tego żądała. (do Damona) Alboż Wac Pan słyszałeś wszystko?

D A M O N.

Co do słowa.

SZAMBELAN, (na stronie.)

Zapewnie się o wszystkim dowie Melissa, co właśnie moim było zamiarem. Może też zawiele dokaże, czego nie dokazała miłość. (do Damona) Te podsłuchiwanie, wierż mi Wac Pan, nie jest grzeczne.

X 71 X

D A M O N.

Czyż to Wac Pana uraża.

E L I Z A.

Wybacz mu Szambelanie; jest to skutek jego
zawiści.

D A M O N.

Kto? ja miałbym być zawiśnym? Niechże
mię bog broni takiego głupstwa.

E L I Z A.

Co! Wac Pan nie zrobiłeś tego z zawiści?

D A M O N.

. A tożby o co?

E L I Z A.

Co! bezwstydniku!

D A M O N.

Alboż ja kiedy miałem w Wac Pannie ufność?

ELIZA, (na sronie.)

Co za niepoczywcy.

D A M O N.

Chyba kto rozum straci, ten sobie będzie
mógł podchlebiać, że ją stateczną uczynić mo-
żna. Jużem tak przywykł widzieć Wac Pan-
nę zmiennicą, że mnie to bynajmniey nie
martwi.

ELIZA, (na sronie.)

Ah! oczybym mu wydała.

SZAMBELAN.

Jak widzę, nad nadzieję byłem szczęśliwszy,
bo nie tylko Wac Panny pożyłskat serce, ale
nadto uczyniłem ją niewierną. Zostawiam Wac
Państwa. Zgodźcie się z sobą, jeżeli to jeszcze
być może, lub, jeżeli nie? zobaczę potym, iak
daleko ufać iey można.

SCENA VIII.

DAMON, ELIZA.

DAMON.

PIEKNIES mu się Wac Panna dała poznać.
ELIZA.

Niechże i tak, to dobrze. Cóż komu do tego. Ale jakim mnie prawem W.P. szpieguiesz? Wszak raz na zawsze przykazałam ci, żebyś u mnie nie bywał: co nie tylko nie jest, ale jeszcze schodzisz mnie z Szambelanem, a nadto, gdy m mówiła, że to czynisz z zawiści, udałeś po sobie zupełną obojętność.

DAMON.

Toż samo i teraz powtarzam: Nie jestem zazdrośny.

ELIZA, (z złością.)

Jak to! nie zazdrośny?

DAMON.

Szambelan, kiedy Wac Pannie swoje oświadcza miłość, zwodzi ją; Wac Panna kiedy go upewniasz o wzajemności, także zwodzisz; i ja miałbym być zazdrośnym, patrząc na tę Komedję?

ELIZA.

Zkądże to Wac Panu ta wiadomość? Pewnie się Wac Panu samemu tylko podobać mogłam?

DAMON.

Nie to jest. Ale Szambelan W. Panny kochać nie będzie.

E L I Z A.

Czemu?

D A M O N.

Bo charakter Wac Panny Szambelanowi,
a Szambelana Wac Pannie podobać się nie
może.

E L I Z A.

Otoż ci powiadam, że mnie paślyami kocha.

D A M O N.

A ja Wac Pannie powiadam, że nie. Co
większa inną kocha.

E L I Z A, (drwiąc.)

Kogożby to na przykład?

D A M O N.

Siostrę Wac Panny.

E L I Z A.

Moią siostrę, (śmieje się ze złości.) Co za
bayki!

D A M O N.

Na moją pocziwość, kocha ją.

E L I Z A.

Upewniam, że nie będę wierzyć, choćbyś
przyśagi.

D A M O N.

Jak się podoba. Ale to tak pewna, iak amen
w pacierzu.

ELIZA, (ze złością.)

Moy, Panie amen w pacierzu! a pocóżby tu
przychodził z oświadczeniem swojej miłości?

D A M O N.

Kto wie! może na złość Melisie. Z tym
wzyskkiem, może! Wac Panna pójść do niej,
i zobaczyć, jeśli to samo nie powie.

E L I Z A.

Számbełan miałby mnie kochać na złość szczególnie moiej siostrze! Miałby mi ofiarować serce od drugiej odrzucone! Toż to jego i wasze jest rozumienie, że mnie nie można kochać, tylko w ten czas kiedy kim moja siostra wzgardzi?

D A M O N.

Ktoż się kiedy namyśla w kochaniu? Serce samo za swoim idzie pociągami, i żadnych nie cierpi reflexyi. Ja na przykład, czuję choć na moment oparłem się słiznym wdziękiem Wac Panny oczu? Nie kochałem cię zaraz za pierwszym weyrzeniem?

E L I Z A.

Ale ja Wac Panna, czy mnie kochasz czy nie kochasz; bądź pewien, że cierpieć nie mogę.

D A M O N.

Są to tylko słowa: ale serce twoiego zawsze pewny jestem, i wiem, że inaczej mówi za mną.

E L I Z A.

Otoż, co mówię, to i czuję.

D A M O N.

Nie tyś to razy już było powiedziano, wszakoż jako ja temu nie wierzę.

ELIZA, (na stronie.)

A to jest ostatnia impertynencya! Czyż można tak daleko być zaufanym w siebie!

D A M O N.

Ale Wac Panna chciały tylko weyrzeć w siebie, i zastanowić się nad tym co czujesz.... Coż to! Pani, widzę, milczy?

E L I Z A.

Gaday Wac Pań, ile mu się podobą, przekonąć mnie jednak nie potrafisz. Nie odmówiłamie mu już tyle razy? nie pokidujęmże się kilkakrotnie?

D A M O N.

Zeby się znowu pogodzić.

E L I Z A.

Otoż poraz ostatni mówię, że się nie zgodzę nigdy.

D A M O N.

Mnie się zaś zdaje, żebyś znowu rada dobrze być zemną. Mimo te wszystkie wstręty i niechęć, znam, że mnie kochasz. Nieba samie zdają się mnie przeznaczać dla niey. Potrzeba być takim, jakim ja jestem, aby się odważyć na uskromienie serca twoiego, Elizo, przez stałą miłość; aby sobie dać czas do przeświadczenia się, że jeśli mi co przykrego wyrażasz, nie czynisz tego szczerze, ale owszem, że masz serce dobre, łagodne i wierne, choć nieco dziwactwu podległe. Ale to wszystko, błąd pewna, więcay dodać ci wdziękow.

E L I Z A. (na sironie.)

Prawdziwie, nie wiem gdzie jestem. Postawa i upewnienia jego... (do Damona, który iey całuje rękę.) E ty! nie dobry! zawżze nademną triumfować musisz.

SCENA IX.

ARYST, MELISSA, ELIZA,
DAMON.

ARTST. (do Melissy.)

ALE nie przykrz mi się już więcej. Czyń
tak jak żądam, uspokój się i nie płacz.

MELISSA.

Mogęż milezyć i być spokojną w tym cza-
sie, kiedy mam doznać tak wielkiego nieszczę-
ścia.

ARTST.

Już widzę, że zostanę bayką całego miasta!

DAMON.

Ocoż to Was Państwo idzie?

MELISSA.

Stryi iego przyjechał.

ELIZA.

Wielkie nieszczęście! otoż ja w momencie
znalazłam sposób pozbycia go się.

ARTST.

Naprzykład? Słuchamy.

ELIZA.

Powiedzieć mu krótko, a węzłowato, że-
by zaraz ztąd wyjechał z lichem, i dał wam
pokoy.

ARTST.

Właśnie też nie lepszey rady spodziewałem
się po takiej głowie.

MELISSA.

Ale czy wieisz, ty siostró, że fryi chce go
ożenić?

ELIZA, (śmiejąc się.)

Zapewne? to niezłpety kawałek.

MELISSA.

Co większa...

ELIZA.

Jeszcze co nowego?

MELISSA.

Pojechał po tę przeznaczoną dlań Panienkę;
dziewczynę bardzo piękną, bogatą, i nie mają-
cą więcej lat trzynastu.

SCENA X.

FURYBURSKI, ARYST, MELISSA;

ELIZA, DAMON.

FURTBURSKI.

O TOZ już przyjechałem, kochany syno-
wce. Nie traćmy więc czasu; chodź zanną przy-
witacie swoje przyłąż żonczkę. (postrzegając
Elizę.) A Wac Panna to jeszcze tu jesteś? iam
rozumiał, że już minęłyś te Węrow.

ARYST, (do Melisjy.)

Mow, że jeszcze odłożony wyjazd.

MELISSA.

Dla czegoż mam tak mówić.

ARTST.

Potem ci powiem.

FURTBURSKI, (do Arysta.)
Mówiłeś mi Wasć, zdanie mi się, że te Panny
są z Podlaśia, i że miały wyjeżdżać na wieś?

DAMON.

Pewny przypadek ie zatrzymał. Ale nayda-
ley iutra wyiać.

FURTBURSKI.

Im prędzey, tym lepiej. Proszę, Moście
Panny, więcej tu nie być, bo was nie cierpię.

ELIZA, (do Furburskiego żwawo.)

Bądźże Wasć Pan pewien, że i my go nie
więcey lubiemy. Nayniższa soga (do Arysta.)
Proszę uczynić koniec tey tajemnicy, bo
nareszcie nie będę milczała.

SCENA XI.

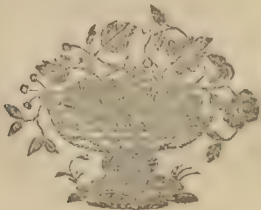
FURTBURSKI, ARYST.

FURTBURSKI.

COZ to mają znaczyć te iey słowa?

ARTST.

Nic... cała rzecz, że niekiedy rozum iey...



S C E N A XII.
FURYBURSKI, ARYST, LOKAY.

. L O K A Y .

IAKIS Pan Potulnicki wszedł do kamienicy,
i prosiło tu idzie.

A R Y S T .

Co slyszę! moy ociec!

L O K A Y .

Przynaymniey, że mi tak mówił.

A R Y S T . (na stronie.)

O Nieba!

F U R T B U R S K I .

Kto! ten stary głupiec brat moy?

A R Y S T .

Proszę Mości Dobry: nie lżyć moiego oycza.

F U R T B U R S K I .

Cóż to Waści ma obchodzić?

A R Y S T .

To właśnie osobliwsze pytanie! alboż nie
powiniennem być dla niego z respektem i przy-
wiązaniem?



SCENA XIII.

POTULNICKI, FURYBURSKI,
ARYST.

POTULNICKI, (*ścisnąc Arysta.*)

IAKZE się cieszę, synu mój, że cię zdrowo oglądam.

ARTST.

Daruj mi, ojcze, że nie wiedząc o Wac Pana Dobr: przybyciu, nie uprzedziłem go z oświadczeniem powinney czei i pozanowania, które mu powinienem.

FURTBURSKI, (*do Potulnickiego.*)

Po cóż tu Waś przyjechał?

POTULNICKI.

Alboż nie godzi mi się odwiedzić syna?

FURTBURSKI.

Obeszłoby się tu bez Waś (*do Arysta.*) Zapewne przyjechał hojnie, żebyś mu co podał.

ARTST, (*do Furuburskiego.*)

Zawsze mi jest miła bytność ojczysta. Ale i Wac Pan Dobr: czy powinienem tak martwić starszego brata swego? Prawdziwie, serce moje mocno tym dotknięte zostało. Proszę pamiętać na to, że jest mój ojciec, i że nie mogę nic dla niego uczynić nadto, dla ulżenia się w obowiązku poczytywego syna.

PO.

POTULNICKI.

I ciebie za syna, i Wac Pana za kochanego brata uznaię; i mimo te wszystkie przyczyny, wzywam nieba, aby wam obom błogosławić raczyło.

FURTBURSKI.

Tylkoż to się podobno wszystko u Waści na błogosławieństwie kończy.

A R T S T, (do Furburskiego.)

Wierż mi Wac Pan Dobrze, że drożey to cenię, iak cały jego majątek. Proszę być zinnym względem dla moiego oycy, abym ja nareszcie nie ubliżył winnemu dla Wac Pana Dobrze: uszanowaniu.

FURTBURSKI.

Nikczemny filozofie! gdzieżś podział rozum? Cóż to za ociec, który nie tylko nic ci nie daie, ale ielzcze przez lat dzielęć ty go żywisz?

POTULNICKI.

Stuchay, bracie! więcey się z tego chlubię, że żyję z łaski syna, niż gdyby on żył z moiey. Miło mi iest widzieć go na starość moją podporą. Ale do czego te gadanie. Tak szlachetne czucie nie wiele podobno czyni wrażenia w tak twardym fercu...

FURTBURSKI.

Ale za cóż Waś zostałś hołyszem?

POTULNICKI.

Bom zawsze kochał honor.

FURTBURSKI.

Honor, honor! czeće słowo, które nie nie znaczy.

Filozof żonaty.

POTULNICKI.

Prawda, u takich ludzi, iak Wac Pan, który iednym tylko zyskiem powodujesz się. Tak jest, kochałem honor, znałem się zawsze na sobie, nie szedłem nigdy podłością, w powszechnym nieszczęściu partykularnych nie upatrywałem zyskow, choć, leń nie raz za własnym wydatkiem w funkcyach publicznych. Mogąż być pięknieysze straty, godne dobrego republikanta?

FURTBURSKI.

A iaż to mam być iuż bez uczciwości dla tego, że mam pieniądze? a ieszcze, kiedy zechcę temi pieniędzmi głodny Waściń podsyć honor, ożenić iego syna i cały mu moy zapisać majątek? Cóż na to powiesz, Mospanie kochający honor?

POTULNICKI.

Serce dobre lubi być wdzięcznym; chętnie zatym przyjmę Wac Pana łaski. Z kimże to na przykład chcesz poswatać moiego syna?

FURTBURSKI.

Z dziewczyną piękną i bogatą. Jest to moja pasierźbica.

POTULNICKI.

Córka tego oycy poczciwego, którego dotąd bez żalu nie wspominam! Bracie nieoszacowany! kochany synu! iakichże nie doznaię łask Nieba.

A R T S T.

Jednak wielkie ieszcze w tym zachodzą trudności.

POTULNICKI.

Zadney nie ma, synu moy. Kontent iestem
zupełnie z tego postanowienia.

ARTST.

Ale Panienka bardzo młoda.

FURTBURSKI.

Cóż u kata! pierwszy raz dopiero słyszę, że
by kto nie chciał młodey.

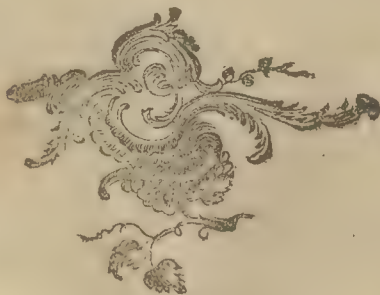
POTULNICKI.

Przywidziało mu się chyba. Idźmy co prę-
dzej czynić przygotowania do wesela.

ARTST, (na stronie.)

Jeszcze też braknęło oycy do dokonania we-
nnie rospaczy!

Koniec Aktu trzeciego.





A K T IV.

SCENA I.

ARTYST sam.

COZ mam przedsiębrać w tak ciężkim utrapieniu moim! Tyśiac myśli snuie mi się razem, jedna drugą zbiia i wąpli, rozum mnie odstępować, pomieszanie w ślady idzie za mną... O nie-szczęśliw. sytuacyo! gdzież jestem! i co poczną dla ulżenia troskom moim!

SCENA II.

ARYST, POTULNICKI.

POTULNICKI.

SZUKAŁEM cię, moy synu.

ARTYST.

Cóż mi W. Pan Dobr: rozkażesz?

POTULNICKI.

Dla czegoż to nas zostawiłeś.

ARTST.

Słaby trochę jestem.

POTULNICKI.

Uważałem przez cały czas obiadu, że się nie bawiłeś... Gdzież ten twój wesoły humor, który cię tak miłym czynił w posiedzeniach? wierź mi, że strzy nawet, choć tak nie czuły, żałuję cię. Przyznajże mi się, co ci takiego? czy masz jakie umartwienie?

ARTST.

Nie mam żadnego.

POTULNICKI.

Zmyślasz, synu. Jeżeli ci moja bytność nie miła, powiedź; wyjeżdżam natychmiast.

ARTST.

Bytność Wac Pana Dobr: nie miła mi? o Boże! czyż można mnie bardziej umartwić! Gdyby to mnie nie cieszyło, mógłbym co miłego dla siebie?

POTULNICKI.

Wierzę ci, mój synu. Ale z kądem tak wielki smutek? Zapewne musisz mieć jakie umartwienie?

ARTST.

Możę.

POTULNICKI.

Za cóż się taisz? czyż nie jestem twój ojciec, a do tego i przyjaciel? Nie inaczej, jestem twój przyjaciel, boś się stał godnym przyjaźni przez osobliwą dobroć serca swojego.

A R T S T.

Wstydziśz mnie Wac Pan Dobr: Wszelako choć to wszystko, co czynilem, wypływało z obowiązku moich, wybacz jednak, że się za to chcę dopomnieć o nadgodę.

POTULNICKI.

Mow, proszę cię. Czegoż dla ciebie uczynić nie jestem gotów!

A R T S T.

Otoż proszę, abyś mi W. P. Dobr: o tym nie wspominał nigdy.

POTULNICKI.

Niechże i tak będzie. Przyimuję ten choć ciężki obowiązek, ale pod kondycją, że mnie odtąd swoim uczynisz wiernikiem.

A R T S T.

Dobrze; dogodzę w tym żądaniu W. P. Dobr: Dobroć serca jego... Ale coż, kiedy przez respekt dla oycy nie mogę być śmiałym.

POTULNICKI.

Także to z przyjaciелеm postępować należy?

A R T S T.

Ah! żałuy mnie Wac Pan Dobr: raczey, a nie gań.

POTULNICKI.

Pewnie tego pomieszania małżeństwo jest przyczyną?

A R T S T.

Jakie małżeństwo? (na sronie) O nieba! czy tylko już nie wie, żem się ożenił.

POTULNICKI.

To samo, o którym teraz stryi myśli?

A R T S T.

Prawda, że mnie nieco zastrasza.

POTULNICKI.

Postrzegalem ia to dobrze i milczalem. Ale
smów daley. i przyznay mi się szczerze, czy
nie kochasz inney?

ARTST.

Kocham.

POTULNICKI.

Pewnieś już z tą kochaną osobą wszedł w iac
kie obowiązki.

ARTST.

I bardzo daleko.

POTULNICKI.

Ta przeszkoda martwi mnie wprawdzie; ale
już daley.

ARTST.

Nie mogę.

POTULNICKI.

Ale ia tego żądam... Cóż to, chcesz przede-
mną ukryć lzy swoje? Czegoż mi padasz do
nog? Wstań. na wszystko pozwalam, i moje
dać ci błogosławieństwo. Osoba, którą kochasz,
musi być godna ciebie.

ARTST.

Nie inaczej, oycze mój.

POTULNICKI.

Ktoż jest ona?

ARTST.

Zona moja.

POTULNICKI.

Twoja żona? ożeniłeś się?

ARTST.

Ożeniłem się sekretnie.

POTULNICKI.

Przyimuję tę wiadomość, raczey iak przyjaciel, nie iak ociec. Ale dla czego tailes się przedemną?

ARTST.

Idąc za miłością nie za interessem, z kochania iedynie ożeniłem się. Zona moja nie miała nic za sobą tylko piękność i cnotę. Ten wybór mogłby się był W. Panu Dobr: nie podobać; a zatym chowałem go w sekrecie.

POTULNICKI.

Maż ona przecie edukacją, rozum, cnotę, statek?

ARTST.

Te właśnie są iej zalety.

POTULNICKI.

Więc ożeniłeś się dobrze.

ARTST, (padając mu do nog.)

Ah! nayukochańszy oycze, zawsze po tobie tak szlachetnego spodziewałem się sentymentu.

POTULNICKI.

Gdzież twoja żona mieszka?

ARTST.

W tym samym domu, przy iedney uczciwey Pani, razem ze swoią siostrą, która niebawnie ma pójść za Damona.

POTULNICKI.

Idzie więc teraz o utajenie tego przed strykiem, bo zapewne mu się to nie podoba, i niezechce' ci nic zapisać.

ARTST.

To prawda.

POTULNICKI.

Udawajże, (a ja ci dopomogę ile możliwości;) że zezwalaś na to małżeństwo z tego poferzbicą. Ale prosz go o zwłokę. Ten czas wystarczy...

ARYST.

Rozumiem.

POTULNICKI.

Baczone rozrządzenie często najtrudniejsze. godzi rzeczy. Ale oto i on nadchodzi. Czyński wipolnie.

SCENA III.

FURYBURSKI, POTULNICKI,

ARYST.

FURTBURSKA

CO to u kaduka! czy drwicie sobie, do-brodziecie? Mnie zaś samego odevś u stolu, nie ścieczywszy obiadu? (do Arysła) Gdybyś Waśc był moim synem!... (do Potulnickiego.) Ale diabli potym, że Waścin. Właśnie kulek w kubek tatuś... omal mnie apoplexya ze złości nie porwała.

POTULNICKI.

Wyrazy twoje, bracišku, trochę są za mocne.

FURTBURSKI.

Kiedy się wysłiznęły, cofać ich, upewnięm, nie myślę.

POTULNICKI.

Niechże i tak będzie. My jednak choć tu z synem moim jesteśmy...

FURTBURSKI.

Alboż ja temu winienem, że do Waści podobny?

POTULNICKI.

Trzeba jednak...

FURTBURSKI.

Trzeba, żeby znał grzeczność, żeby był obyczajniejszym, i ze mnie zbierał wzory.

POTULNICKI.

Bez wątpienia.

FURTBURSKI.

Cóż to pięknego nudzić się u stołu, i wstać najpierwey, nie czekając, ażby wstali starci...

ARTYST.

Ale niech mnie to usprawiedliwi przed Wac Parém Dobr: że...

FURTBURSKI.

Zostawić fryzja, a ielzce takiego, iak ia fryzja, aby się sam ieden zapil...

POTULNICKI, (do Arysta.)

Prawda, źle zrobiłeś...

FURTBURSKI.

Kiedy ia pię, trzeba mi pomagać, bo inaczej na' złość się upiłam.

POTULNICKI.

Mówiliśmy braciżku o tym postanowieniu Arysta...

FURTBURSKI.

Ma Jmć fryztu do intra, albo kwita ze wszystkiego: i szeląga mu nie zapisz.

ARTST.

Ale racz Wac Pan Dobr: pozwolić, żeby się to odwlekło na nieiaki czas, i...

FURTBURSKI.

Darmo, darmo, już kłamka zap adła.

POTULNICKI.

Ale do czegoż się, bracišku, tak śpieszyć?

FURTBURSKI.

Naymnieyszey zwłoki nie cierpię. Jakże? chcecie, czy nie?

ARTST, (na froncie.)

Cóż za nieznośny człowiek.

FURTBURSKI.

Rodzice pewnego Szambelana, człowieka małego i poważanego u dworu piszą co pocztą do moiego szwagra o przyspieszenie małżeństwa tey Paniienki. Dotych czas ani słuchać chciałem o tym: ale, jeśli Aryst nie uwinie się, wydam ją za Szambelana.

ARTST.

Kiedy tak dobra partya wydarza się dla pa-sierźbicy W. P. Dobr:, zdawałoby mi się iey nie upuszczać...

POTULNICKI, (przerywając Arystowi.)

I owszem, nie. Syn moy chce być zupełnie Wac Panu posłusznym, ale dla zaczęcia i skończenia rzeczy przyzwolicie...

FURTBURSKI.

Co mi Wasć zawsze z swoiemi moralami. Ja chcę...

POTULNICKI.

Owszem ja mówię, że Wac Pana intencye są bardzo dobre, i że moy syn nieprzyzwolicie czyni, gdy się ich nie chwyta, ale cóż! kiedy to filozof.

FURTBURSKI.

Ta też to jego filozofia w niecierpliwość mnie wprowadza. Powiedźcie mi, co to są te filozofy, kiedy nie wierutne półgłówki i gaduły, co prawią ni to ni owo, co, kiedy, dzień, chcą we wszystkich wmówić noc? Słowem, co gadaią wiele nie mówiąc, byleby tylko zadziwiano się nad nimi.

A R T S T.

Miarkuy W. P. Dobr: gniew ten prędki, wynikający z fałszywego rozumienia. Jest to obraz raczy mędrka, nie filozofa.

FURTBURSKI.

To wor, to torba.

A R T S T.

Nie, Mości Dobr: kto filozof, tym samym nie gaduła. Naykrótsze wyrazy wiele znaczenia mające są wyrazy filozofa. Wyszukiwanie prawdy jest jego celem, chwalebne czyny zamiarem, stawanie się dobrym i górowanie nad namiętnościami zwykłym ćwiczeniem. Filozof na tym swoją zakłada chlubę, aby nie słowy, lecz uczynkami dowodził rzeczy. Nie smaży głowy nad tworzeniem nowych systematow, jest dobrym i sprawiedliwym; pokornym w szczegól, wielkim w przeciwnościach, nawdującym całą roskosz w cnocie, kontent naywięcey z lubey swobody, litujący złośliwych, brzydzący się występkiem. Ten jest obraz prawdziwego filozofa. Tych gdy nie ma zalet, przywłaicza sobie tytuł, nie posiadając istoty.

FURTBURSKI.

A Waść czy jesteś takim?

A R T S T.

Staram się dopiero o te doskonałości.

POTULNICKI.

A Widzisz, bracie? Im lepiej moiego syna poznasz, tym więcej znajdziesz go godnym szacunku. Jest to iakem mądwi filozof; i dla tego chciałem Wac Panu przełożyć, że co się tycze małżeństwa, postąpi w nim iak człowiek mądry....

FURTBURSKI.

Którym Waśc nie jesteś. Ja zaś mówię, że potrzeba być głupim, żeby się dać prosić dla dziewczyny młodej, ładnej, bogatej, cnotliwej i zacie urodzonej.

POTULNICKI.

Ale day mu W. Pan czas do namyslenia się

FURTBURSKI.

Nad czym się tu u stu katów namyslać, kiedy partya tak wysmienita!

A R T S T.

Ale pasterz bica W. P. Dobr: mnie nie cierpi.

POTULNICKI.

Pozwolże Wac Pan, niech się pierwey Panie zasłuży.

FURTBURSKI.

Niechże i tak będzie.

POTULNICKI.

Pótym zaś...

FURTBURSKI.

Na to będzie dosyć iednego dnia.

A R T S T.

Zebym w dniu iednym mogi pozyskać serce, a ieszcze tak mi przeciwnie? Nie będzie to, upewniam, w moiej możności.

POTULNICKI.

Dzień ieden! còż to! chyba żartuiełz ?
bracie.

FURTBURSKI.

Czyż na to więcey pòtrzeba.

POTULNICKI.

Przynawimniey dwa lub trzy mieściące.

FURTBURSKI, (rozgniewany odchodząc.)

Będzie Szambelanową!

POTULNICKI.

Zaczekayno W. Pan.

FURTBURSKI.

Jakże! poraz ostatni pytam Was, czy chce-
cie, czy nie chcecie?

POTULNICKI.

I owfzem pragniem w tego serdecznie, ale...

FURTBURSKI.

Otoż wam pozwałam tydzień.

A R T S T.

Ale to być nie może w tak krótkim czasie.

POTULNICKI, (do syna.)

Wizelako trzeba przyśtać, i starać się o po-
zyskanie serca Panny.

FURTBURSKI.

Za tydzień wesele.

A R T S T.

Za tydzień?

FURTBURSKI.

Ale to już bez żadney wymówki, albo dro-
go przypłacisz swego głupstwa.



S C E N A I V .
POTULNICKI, ARYST.
POTULNICKI.

S Korośmy na nim wymogli tyle, spodziewam się, że dokażemy i reszty. Ale ktoby był ten Szambelan? ... Byle się tylko brat uspokoił, muszę go badać, a potem, chwając mu tę partycję, może namówię do chwycenia się oney. Skoro tego dokażę, nic ci więcej nie będzie na przeszkodzie do zupełnego szczęścia i ukontentowania. Nie obawiając się utracenia znaczney po stryiu sukcesyi, będziesz mógł obia-
wić, żeś żonaty.

A R T S T.

To być nigdy nie może, Mości Dobr:

POTULNICKI.

Dla czego?

A R T S T.

Przyznaię się W. Panu Dobr., że szczęście moje zawisło na zachowaniu sekretu.

POTULNICKI.

Ale skoro stryi będzie prześlągany, czygo byś się miał więcej obawiać?

A R T S T.

Nie tak ja stryia, iako raczej powszechności obawiam się.

POTULNICKI.

Powszechności! Cóż to! czy pojąłeś iaką żonę bez urodzenia, albo też nieślawną kobietę?

ARTST.

A R T S T.

Owżem i szlachetnie urodzoną, i piękną,
i cnotliwą.

POTULNICKI.

Czegoż się iey wstydzisz?

A R T S T.

Boię się sztytwa tych samych, których
sam nie dawno wyszydziałem. Pożniew czy
prędzey przewyciężę ten wstyd fałszywy, ale
teraz zmiłuy się W. Pan Dobr: niech to będzie
w sekrecie. Naybardziej straszny jest dla mnie
Szambelan Dwornicki, wielki żartowniś, który
się kocha w moiej żonie.

POTULNICKI.

Kocha się w twoiej żonie?

A R T S T.

Tak jest. Uważ Wac Pan Dobr: bidną sytuac-
cyą moją. Wolę patrzeć na iego umizgi, z któ-
remi do moiej natrąca się żony, iak wyznać
to, że iestem iey mężem.

POTULNICKI.

To właśnie rzecz nowa i osobliwsza!

A R T S T.

Może do tego nierozsądza. Z tym wszystką
pozwol W. Pan Dobr: mieć to w sekrecie, póki
się nie ożeni Szambelan, i ia nie wyiadę.

POTULNICKI.

Pocóż z tąd wyieźdźać?

A R T S T.

Konieczniew nastąpić to musi; nie mam albo-
wiem tyle czoła, abym się znaydował w liczbie
mężów Warszawskich.

Filozof żonaty.

POTULNICKI.

Prawdziwie nie wiem, synu, czy cię ganić, czy litować potrzeba. Z tym wszystkim przez przywiązanie, z którym jestem dla ciebie, pójdę za twoim przywidzeniem, i ile możności pomagać będę.

SCENA V.

ARTYST sam.

TERAZ potrzeba mi tylko Melisę i Elizę przygotować do tego.

SCENA VI.

ARYST, MELISSA, ELIZA,
REGINKA.

ELIZA.

SPOSÓB postępowania jego uraża mnie; i muszę go nauczyć rozumu.

MELISSA.

Ale nie trzeba tak porywczo czynić. Kto wie? może on o Wac Pannie myśli?

ELIZA.

Czy mnie kocha, czy nie, mało dbam o to; dość, że go nie cierpię i nienawidzę. Alboż ja to już mam być brakiem?

A R T S T.

O kimże to mówicie?

M E L I S S A.

O Szambelanie.

E L I Z A.

Kochać mnie tylko na złość drugiej! słiczne kochanie. Chciałabym wiedzieć, czy też to bez ofiatniego głupstwa można Wac Pani dać nademnie preferencyą. Na tę rzecz, trzeba być albo waryatem, albo filozofem.

A R T S T.

A zawsze te docinki! Cóż ona w tym winna, że się komu zda być od W. Panny piękniejszą.

M E L I S S A.

Alboż szukałam kiedy miłośników? lub ich od W. Panny odcigałam? Jeżeli chcesz, że-
bym się w miarę twojej piękności przyznała za strasznicę, za brzydką, a nareszcie za szkaradą; gotowam i to uczynić przed kim zechcesz, i ile razy zechcesz.

E L I Z A.

Co tak, tobyś nam obom uczyniła sprawiedliwość; ale ja tego nie wyciągam. Każdy, kto ma oczy, smak, rozum; potrafi i bez W. Pani łaski rozemnać w mojej twarzy i ułożeniu całego ciała to wszystko, co mam od niej piękniejszego. Co do Szambelana, nic pewniejszego jak to, że mu się sto razy więcej, niż W. Pani, podobać była powinna: a że będąc człowiekiem dworskim i dobrze wiadomym galanteryi, śmiał ją pokochać; nie wypowie-

dzianie mnie to martwi. Więcej mu jednak
jeszcze mam za złe to, iż na złość W. Pani;
żeś mu wzajemną być nie chciała; oświadczył
się mnie, dokazał swego, i zaniechał. Chyba,
że żyć nie będę, to się nie pomścę.

A R T S T.

Jakże to naprzykład.

E L I Z A.

Powiem mu, że go nie lubię.

A R T S T. (drwiąc.)

Mocno go tym zmartwisz.

E L I Z A.

Ze jeśli on na złość tylko drugiej oświad-
czył mi swoje kochanie; ja także na złość dru-
giemu słuchałam jego oświadczenia.

ARTST. (śmiejąc się.)

Bravo.

E L I Z A.

Ze moja siostra nie tylko go nie kocha, ale
owczem nienawidzi.

ARTST. (kontent.)

Bravo, bravo.

E L I Z A.

I, że jest Wac Pańa żoną.

ARTST. (świżony.)

Zmiłuy się, nie mów mu tego...

M E L I S S A.

Ale przebog! co za niewczesny upor Wac
Pana! Strzy i oćiec chcą go żenić; możnaż się
dłużej tać?

A R T S T.

Proszę być spokojną. Znajdę ja sposób wy-
winąć się z tego.

(101)

MELISSA.

Jakże to być może, nie powiedziawszy, że
jestem W. Panna żoną.

ARTST.

Proszę, żebym był słuchany.

MELISSA.

Bardzo dobrze. Usłucham Wac Pana, ale pod
kondycją. aby Szambelan nigdy u mnie no-
gą nie postął.

ARTST.

Czy ja mogę mu zabronić! iakiżbym dał
pozor rzeczy? iaką racją?

MELISSA.

Tę racją, że jestem Wac Pana żoną.

ARTST.

Niechże bog broni. Wolałbym najfrozszą
torturę, iak słowo rzec o tym.

MELISSA.

Przynajmniej pozwól mi, niech ja go
o tym uwiadomię.

ARTST.

Właśnie, iak gdyby to nie było iedno. Sko-
roby mnie zobaczył, pewien jestem...

ELIZA.

Wielkie nieszczęście, że się z Wac Pana
śmiać będzie! Mów W. Pan co chcesz, ja ie-
dnak poznaię, że się wstydzisz swoiey żony.

MELISSA.

Myśl Wac Panna o sobie, bo oto Szambelan
idzie.

ELIZA.

Wszystkie mnie biorą złości na ten widok
przemierzły. Nie władnę moją pasią.

ARTST.

Darmo! widzę, że już moja godzina nadeszła

SCENA VII.

MELISSA, ELIZA, ARYST,
SZAMBELAN, REGINKA.

SZAMBELAN, (*przypatrujący się
im czas nieiaki.*)

IM pilniey w was wpatruję się, tym więcej
poznaję, że jestem przyczyną ich pomieszanja.
(*patrząc na Melissę.*) Jedną spuszcza oczy,
i здаје się być pomieszana, (*na Flizę,*) druga
dale poznawac, że ją moja bytność uraża. Re-
ginka złośliwe pokrywa uśmiechy. Strwożony
Aryst, głęboko zamyśla się: zgoła, każda po-
stawa ma w sobie coś dobitnego, wyrażającego,
i tkliwego. Prawdziwie, obraz ten czterech
osob osobliwie mnie' cieszy.

REGINKA.

To prawda. Przenowićby nam tylko po-
trzeba.

SZAMBELAN.

Jakże? nie skończemy tey niemey zabawy.
(*do Melissy*) Pani! ostatni raz proszę cię; racz
mnie posłuchać. Nie przychodzę tu więcej
z oświadczeniem moiej miłości: odrzucenia
moie, znam, że było sprawiedliwe.

ARYST, (*na sronie.*)

Zginałem! Zapewne się dowiedział o moim
wzniezieniu.

MELISSA.

Nie badam przyczyn tego przedsięwzięcia. Kontenta jestem, że mnie Wac Pan więcej nie kochał, dawne w tym niśzczał żądania moje; ieżeli zaś moja siostra tę w nim sprawiła odmianę, nie mogę mieć miłszego nadto wyznania. (*odchodzi.*)

SCENA VIII.

ARYST, SZAMBELAN,
ELIZA, REGINKA.

ELIZA.

Iednakże, ieżeli prawda, iak powinienam rozumieć, że moc wdziękow moich odciągnęła Wac Pana od iey kochania; wiedz o tym, paniczu, że bardzoś sobie źle poradził. Naucz się, że ja nie jestem brakiem; żeby mnie dopiero kochać, będąc wzgardzonym od drugiey. Kłaniam. (*odchodzi.*)



SCENA IX.
ARYST, SZAMBELAN.

SZAMBELAN, (śmiąc się.)

ALE iak zażartowała ze mnie!

ARTYST.

Jeszczeby można znaleźć sposób pogodzenia was.

SZAMBELAN.

Day pokoy, przyjacielu, niech sobie udaie
sroga, ia, ieśli o kim myślę, zapewne nie o niey.

ARTYST.

Cóż to? czy nie myślisz się nareszcie ożenić?

SZAMBELAN.

Tak, przyjacielu, myślę: a nawet chcę to
rozgłosić, żeby się żartownisie naśmiewszy
wcześnie nie mieli z czego szvdzić po weselu.
Co większa, sam na siebie napiszę kilka piosnek
szydnych, i dam drugim ton żartowania ze
mnie. Tak, tak Aryście.

ARTYST.

Zamyśl ten twoy śmiały jest wprawdzie, ale
niemożna mówić, żeby był nierostropny.

SZAMBELAN.

Otoż widziś, że go się nie lękam. Ten pro-
jekt zapewne jest lepszy, niż, żeby z nas, na-
przykład, który, chciał się tać z ożenieniem dla
usiknienia niezbytch w tym razie szyderskw.
Ty! (mowmy tylko dla podobieństwa) ty,
który tak byleś surowym dla pici, nie prawdaż,

że gdybyś iakowym przypadkiem ożenił się, i chciał to tać; nie udawałżebyś głupiej roli?

A R T S T.

I iak ieszczel! Ale powiedz mi, która jest twoim kochaniem?

S Z A M B E L A N.

Dziecko dopiero trzynaście lat mające. Dziwi cię to zapewne? dziwnieysza to jednak ieszcze, że z tym dzieckiem mam się żenić przez plenipotencyą. Srył mój, po którym wielkich spodziewam się pieniędzy, już niedopiero sekretnie traktuje o to małżeństwo, i chce, żeby bez odwołki swoy wzięło skutek, jedna tylko ieszcze zachodzi trudność, ale i tę ułatwiemy.

A R T S T.

Jaka trudność?

S Z A M B E L A N.

Ten, od którego zezwolenia zawiśła Panna, nie chce ją żadną miarą wydać za mnie.

A R T S T.

Co zaś znów...

S Z A M B E L A N.

Upewniam cię jednak, że brat jego starszy, człowiek bardzo roztropny i poczcwiwy, zechce go nakłonić. Właśnie, dopiero mi o tym znać dano.

A R T S T.

Strafnie mnie to rzedziwia! Albo się myślę, albo mój ociec i srywi są te osoby, od których cały ow interes zależy. Wszakci to idzie podobno o partyą dla mnie przeznaczoną?

SZAMBELAN.

Zgadłeś! Tak nie inaczej. Jesteśmy [teraz
współzalotnicy. Strażny prawdziwie przy-
padek.

ARTST.

Mój przyjacielu, ustępuję ci iey.

SZAMBELAN, (uśmiechając się)

A! to zbyt wspaniałości przyjacielskiej.
Dziewczyną tak ładną!

ARTST.

To prawda, że cud piękności.

SZAMBELAN.

Powiedzże mi, Aryście, maż ona przecie
rozum?

ARTST.

I iaki!

SZAMBELAN.

A nie chcesz się z nią żenić?

ARTST.

Nie.

SZAMBELAN.

Prawdziwie wielki z ciebie dziwak! A kiedy
twoy fryci cały mi za nią odda swoy majątek?

ARTST.

Zgoda! niech wszystko zapiszcie, byleby
mnie dał pokoy.

SZAMBELAN.

Cóżkolwiek bądź, mimo tyle pożytkow za
pasterską Furyburskiego, żalnię serdecznie
Melissy, i wszystkiego bym dla niey odstąpił.

ARTST.

Ja nie wiem co by w tej Melissie mogło się
tak bardzo podobać! Przynajmniej ja nie wi-
dę nic w niej osobliwszego.

SZAMBELAN.

Z tym wszystkim jest na ciebie podejrzenie, że małż lepszy trochę gust, niż udajesz. Ale cóż robić! kiedy już ma męża.

ARTST.

Melissa ma męża?

SZAMBELAN.

Nie inaczej.

ARTST.

Zartujesz?

SZAMBELAN, (bując go po ramieniu.)

Mój przyjacielu, ani wątpię o tym. Siostra i Reginka powiedziały to pewnym osobom, od których ja znowu dowiedziałem się. Co większa, wiadome jest nawet nazwisko iey męża. Mówią, że ma rozum, dobre serce, poczciwość; że jest wielki filozof, ale dziwak, człowiek osobliwszy, wstydzący się swego ożenienia, który nakoniec chce, aby z niego nie szydzono. (śmiejąc się) Nie mogłbyś się też na przykład domyślić, kto to jest?

ARTST, (zmieszany.)

Tak, tak, troszeczkę.

SZAMBELAN.

Tym lepiej. Jakżem teraz kontent! Powiedz mu odemnie, że już wiedzą o iego ożenieniu; niech zatem będzie gotów na wszystkie żarty i wyśmiewania, które go dziś ieszcze potkać mogą. (wychodzi śmiejąc się.)



SCENA X.

A R T S T.

PRZEBOG! Cóż teraz poczyć! . . . zgina-
łem.! Otoż ten fatalny moment, którego na-
więcey obawiałem się. Ale cóż! trzeba sobie ile
możności radzić. Ostatnim dla mnie dziś jest
środkiem wyiechanie z Warszawy co naj-
prędzje.

Koniec Aktu czwartego.





A K T V.

SCENA I.

ARYST, DAMON.

D A M O N.

ALE posłuchaj mnie tylko.

A R Y S T.

Daremne twoje wszystkie gadania, co umy-
śliłem, wykonam.

D A M O N.

Cóż to! straciłeś rozum?

A R Y S T.

Cokolwiek bądź, wyjeżdżam.

D A M O N.

Śmieszny człowiek! Ale zastanów się nad
tym, co ludzie rzekną?

A R Y S T.

Niech sobie gadają co chcą, bylebym ich nie-
słyszał.

(X. 110. X)

D A M O N.

I iakże? ten twoy umysł podsyłany starożytną mądrością, ginie teraz, kiedy go zażyć potrzeba?

A R T S T.

Jużem ci nie raz mówił. Dawni mędrce, znając nad sobą prawo iedynie cnoty, zamiast unikania dolegliwości, iako rzeczy przykrej, nie tylko nie mieli dosyć one przewyciężać, ale owszem sami się natrącali na nią. Naywiększe obelgi i wzgardy nie mogły bynajmniey zachwiać ich umysłem; zgola, byli iakoby skały niepożyte burzą. Zadziwiam się nad tak doskonałym stałości przykładem, ale nie mam dość odwagi do ich naśladowania.

D A M O N.

Ja ci powiadam, że ich dorównasz, byleś się tylko uspokoił.

A R T S T.

W tak wielkim nieszczęściu mam się uspokoić? Ah! cóżbyś dał za to, żebyś choć chwilę był w moim stanie, wystawiony na tyfiac razow, stokroć, niż śmierć, gorzycz? Na te rzeczy trzebsby chyba nie mieć czoła. Ledwie kilku osobom moje wiadome ożenienie, a iuż widać nawałę piśm ze mnie szydzących; cóż to będzle, kiedy się dowiedzą u dworu i po kompaniach?

D A M O N.

Nie możesz się temu wszystkiemu lepiej złożyć, iak cierpliwością i spokojnym umysłem.

A R T S T.

Dobrze to mówić. lecz nie doznawać. Nauczay. (*daie mu piśma.*)

X III X

D A M O N.

Wielkie rzeczy! same igrzyska imaginacyi
i wieratne frazki.

A R T S T.

Lecz dla mnie śmiertelne są razy. Sprawie-
dliwa powszechność oddała mi teraz za swo-
je. Wyśmiewałem pierwej innych; teraz sam
przychodzę na ich pośmiewisko. Przynajmniej,
gdy się schronię, wszystkiego tym uniknę.

D A M O N.

A Meliśa?

A R T S T.

Wkrótce i Meliśa za mną poiedzie.

D A M O N.

Bądź powien, że nie zechce.

A R T S T.

Musi. Nieszczęścia moiego jest przyczyną iey
szczęśliwość: niechże ze mną dzieli troski
onego. Hey! jest tam kto?

S C E N A II.

ARYST, DAMON, LOKAY.

L O K A T.

M O S C I Dobrodzieiu.

A R T S T.

Pójdź dowiedz się, czy Jmość przyjechała
z miasta?

L O K A T. (idzie i powraca.)

O kimże Pan mówi?

ARTST. (z gniewem po krótkim myśleniu.)
O mojej żonie.

LOKAT. (idzie i powraca.)
Któraż to żona Pańska.

ARTST.
Melissa.

LOKAT. (skrobiąc się w głowę.)
Mam ci trochę rozumu. Wiedziałem ja już
nie dopiero o tym, chociaż nie Panu nie mówi-
łem.

ARTST. (z gniewem.)
Idźże mi prędzej...

SCENA III.

ARYST, DAMON.

DAMON.

Dokądże zamysłasz udać się?

ARTST.
Mnie, nie komu, wiedzieć o tym.

DAMON.
Ale ja za tobą wszędzie pojadę.

ARTST.
Zostań tu raczej, przyjacielu. Jeśli kochasz
Elizę, mogłabyś ją przez oddalenie się stracić.

DAMON.
Ale czy to być może, żebym ja mógł prze-
zwyciężyć iey dziwactwa?

ARTST.

A R T S T.

Trzeba, żebyś się z nią co nayrychley żenił. Miała dotąd od ciebie wkręt, iak od nieznajomego; więc obawiaj się swoie urodzenie i stan.

D A M O N.

Ile że teraz już mogę. Wiadomo ci, że wdawsz się w pewny interesz szczególnie przez punkt honoru, musiałem utaić imię i kondycyą moją. Dzięki bogu, brat mój wszystko to miał już zakończyć, iak mi donosi jeden przyjaciel z Piotrkowa; nie mając zatym przyczyn dalszego taenia się. obawię kto jestem. Ale i ty, proszę cię, zostań przynajmniej do jutra, abym cię mógł mieć za świadka.

A R T S T.

Dla Boga! postrzegam, że idzie Melissia. Otoż to teraz twoiey trzeba mi przyjaźni. Wipomagać mnie, proszę cię.

D A M O N.

Chętnie bardzo. Cóż mam czynić?

A R T S T.

Poydź do mego oycy, oznaym mu o moim zamiśle i namawiaj go, aby chciał nań przyzwolić i sam tu zostać dla cieszenia Melissy w moiey niebytności. Czekał twoiego powrotu iak nayrychley.



SCENA IV.

MELISSA, ARYST, ELIZA,
REGINKA.

MELISSA.

PRZEBOG! cóż ci to, Aryście? Czegożeś
tak pomierzany?

ARYST.

Właśnie wszystko trzy w czas tu przyszy-
ście. (do *Melissy*.) Moja żono! już się dogodzi
Wac Pani żądaniu.

MELISSA.

W czym takim?

ARYST.

Szlify nasze już są wiadome. Dzięki stara-
niom Wac Pani, zewsząd odbieram powintzo-
wania.

MELISSA.

Jabym zaś miało rozgłosić? Ah! nieba wzy-
wam za świadka, żem...

ARYST.

Więc taką rzeczą ja się sam zapewne wy-
gadałem; nie wątpię albowiem, że i Reginka by-
ła mi posłuszną i Eliza, która tak dobrze mi-
licieć umie, nie powiedzieli by tego przed nikim.

ELIZA.

Wolno Wac Panu żartować, ile mu się podo-
ba, to jednak prawda, żem o tym nie mówiła,
jak tylko może przed sześciami, lub siedmią oso-
bami.

R E G I N K A.

A ja ledwie przed czterema przyjaciółkami,
które wiem, że milczały, bom ich iak węzów
zaklela na sekret.

M E L I S S A.

Ale zaniechawszy tych żartów, powiedz
nam...

A R T S T.

Bez żartu, żegnam Wac Panią, i iadę.

M E L I S S A.

O! nieba. J. żbym na to żyć mogła, Aryście?
albo tu zostań, albo i mnie weź z sobą.

A R T S T.

Niezabawem po Wac Panią przyszlę. Mie-
szkanie moje ma odtąd być osobne i dalekie od
Warizary; ale to na zawsze. Uważ sobie te-
raz, czy ci nie będzie przykro.

E L I Z A.

I Wac Pani tak daleko chcesz być powolną?

M E L I S S A.

Tak, powolną. (*do Aryst.*) Wszystkie miey-
sca, byle z tobą, będą dla mnie nader miłe.



SCENA V.

ARYST, DAMON, MELISSA,
ELIZA, REGINKA.

D A M O N.

MAM ci niepomyślną bardzo donieść nowinę. Widziałem twego oycę i stryja, wychodzących z domu Szambelana, gdzie zapewne dowiedzieli się o wszystkim. Stryi rozgniewany chce skasłować twoje małżeństwo, jako bez wiedzy krewnych uczynione.

M E L I S S A.

Dla Boga! co mówisz?

D A M O N.

To, co słyszałem.

A R T S T.

Cóż na to mój ociec?

D A M O N.

Stryi go nie słucha i chce koniecznie albo zrobić rozwód, albo cię wydziedziczyć. Teraz oba poszli. rozumiem, że do Patrona, dla naradzenia się względem rozwodu.

M E L I S S A.

J w tak żalostnym razie Aryst mnie opuści!

A R T S T. (z rezolucją.)

Nie opuszczę. Odtąd wżelika dożań moja ustać. Niebezpieczeństwo twoje, żono! przywraca mi izłachetne męstwo, które uszczęśli-

wia serca cnotliwe. Idę, i postwie się nawa-
większey burzy, ale postawię się dla zwycię-
żenia oney. Niech powziętność nieunie moje
postanowienie, niech mnie straci wydziedzicza;
skoro do tego przychodzi, że nas chcą rozłą-
czyć, nie dbam o nic. Idę natychmiast do nie-
go, i powiem mu, że daremnie o naszym my-
śli rozwodzić. Pokaże nawet, stawiając się mę-
żnie zapalczywości jego, że Melissa jest rzeczą
dla mnie najdroższą w świecie.

M E L I S S A.

Ah! teraz cię poznałem Aryście, i nie boisz się;
ale proszę miarkuy w razie swoje zapędy, i ie-
go cholerzę chciey ulegać.

A R T S T.

Tak też myślę. Wac Pani idź tym czasem do-
siebie, i nie pokazuy się, aż po nią przyszlę.

M E L I S S A.

O Boże! twoiey wzywam pomocy, nie
chciey nas opuścić.

S C E N A VI.

DAMON, ELIZA, REGINKA.

E L I Z A.

STAN ich wzbudza we mnie litość, i choć
niechętna, żałuję jednak obojga. Ale jakżem
ja niebaczna być tak dobrą, i troskać się o siostrę!

X 118 X

D A M O N.

I to Wac Pannę zadziwia?

E L I Z A.

Czemuż nie ma zadziwić? alboż mało przy-
krości od niey wycierpiałam?

D A M O N.

Naprzykład?

E L I Z A.

A ieszcze takich, iakie się między siostrami
wybaczyć nie mogą.

D A M O N.

Jakież przecie?

E L I Z A.

Ta naygłośniejsza przykreść, że się podo-
bała wielu osobom, którychbym ja była rada
mieć dla siebie.

D A M O N.

Dziękuję ci, śliczna Elizo za ten łodziuchny
komplement. Ale skoro mnie kochasz, dla cze-
go mieć za zię siostrze, jeżeli się umiała po-
dobać drugim?

R E G I N K A.

Dla tego, że Wac Pan inaczej, a my inaczej
myślemy.

E L I Z A.

I W. Pan ieszcze rozumiesz, że go kocham?

D A M O N.

Dziwne bardzo pytanie! Czemuż nie mam
wierzyć upewniony o tym nie raz od ciebie
słamey?

E L I Z A.

Co za przywidzenie! Szczery z ciebie fanta-
styk. Reginko! czy ja go kocham?

R E G I N K A.

Jak czafem.

D A M O N.

Prawda, że wiele od ciebie dziwactw uciera-
pialem Elizo! ale mimo to wszystko przenikam
twoje serce, i znam, że będziesz moją żoną.

ELIZA, (do Reginki.)

Ja będę jego żoną? chciałbym to wiedzieć.

D A M O N.

Tak, tak, będziesz moją żoną, i zobaczysz.

E L I Z A.

A to kiedy?

D A M O N.

Jeszcze dziś w wieczor.

ELIZA, (do Reginki.)

Czy wyszysz? ale to z taką pewnością
ścią, że kto inny uwierzyłby temu.

D A M O N.

Tak nie inaczej; śliczna Elizo! oczęta twor-
ie wróżą mi, że dziś jeszcze będziesz moją
żoną.

E L I Z A.

Kiedy tak, to moje oczy kłamią. Patrzaj go,
co za bezczelność! Mospanie, poznaj się na so-
bie, i bądź pewien, że nie będę żoną, czło-
wieka nie szlachetnie urodzonego.

D A M O N.

A gdybyś za mną zebrała, nie tylko szlache-
tną, ale nadto wysoką Urzędniczką.

E L I Z A.

Za Wac Panem, wysoką urzędniczką? nie
rozumiałabym... chyba Konfiliarzową.

D A M O N.

Otoż mówię, że wysoką, bo pierwszą w moim Woiewodztwie urzędniczką. A kiedy Aryśt przyświadczy, czy będziesz temu wierzyć?

ELIZA, (pokrywając ukontentowanie.)

Aryśt! Aryśt! sama nie wiem co na to odpowiedzieć. Ale dla czegoż Wac Pan taileś się dotąd?

D A M O N.

Dla ważnych przyczyn, wierz mi.

ELIZA.

Chyba, że Aryśt przyświadczy, w tenczas uwierzę, ale potym o tym. Teraz całą myśl moją zaprzęta interes siostry... Cóż to tam śyachać za hałas.

DAMON, (słucha.)

Słyszę stryia Aryśtowego.

R E G I N K A.

A wrzeszczy, iak gdyby go kto ze skóry odzierał.

S C E N A VII.

POTULNICKI, FURYBURSKI,
DAMON, ELIZA, REGINKA.

FURYBURSKI, (do brata.)

O TOZ Waść macz wielkiego filozofa! Sliczne ze katy małżeństwo! Gdzież się chowa ten mędrzec, który to nie słowy, ale postępkami dowodzi swoiey filozofii.

POTULNICKI.

Ale moy bracišku...

REGINKA, (do Elizy.)

Aż mnie mróz całą przechodzi.

E L I Z A.

Zaraz ia mu tu odpowiem.

DAMON, (wstrzymując ią.)

Zmiłuy się, nie urażay go. Niech się naha-
łasuje do woli. To samo może go uspokoi.

FURTBURSKI.

Niech tonie w rozrzewnieniach, niech usy-
cha przy swoiey Penelopie, ale niech razem
wie i o tym, że go wydziedziczam, że cały
maitek zapiszę temu, kto moją weźmie pa-
sierzbicę.

POTULNICKI.

Jako! ten synowiec tak kochany...

FURTBURSKI.

Ten synowiec szeląga po mnie nie weźmie.

POTULNICKI.

Ale...

FURTBURSKI.

Umrze z głodu, jeżeli nie porzuci żony,
i za moją nie pójdzie wolą.

POTULNICKI.

Ale czy można tyle wymagać po nim?

FURTBURSKI.

Darmo, darmo; zacząłem rzecz i dokończyć
muszę... Ale oto podobno i ta śliczna lalka,
dla której nasz pułgówek oszalał.

REGINKA, (do Elizy.)

Wszak on do Wac Panny idzie.

E L I Z A.

Rozmówię się ia tu z nim zaraz.

DAMON, (do Elizy.)

Zmiłuy się, nie urażay go.

ELIZA.

Ala dla Boga, tylko mi dajcie mówić, ia tu
w kilku słowach cały zrobię interes.

DAMON.

Chyba go nie obrażę.

FURTBURSKI

Wac Pani to iesteś, moia piękna, z którą mo-
glupi synowiec ożenił się?

ELIZA.

Cóżby w tym miało być do przygany? albow-
żaka zachodzi nieprzyzwoitość?...
REGINKA.

Jak widzę, rozmowa ich będzie żwawa. Na-
śmiejemy się tu do woli.

FURTBURSKI.

Jatylko to jednę upatruję nieprzyzwoitość, że
wasze małżeństwo nie nie wazy.

ELIZA.

A ia mówię, że jest ważne i dobre ze wzy-
skim.

REGINKA.

Wszystkie w nim kondycye są dopelnione,
i nie nie zapomniano.

FURTBURSKI.

Tylko moiego, i cyncowskiego zezwolenia.

ELIZA.

Czaśem się bez tego obeysć można, iak Wac
Pan widzisz.

FURTBURSKI, (do Potulnickiego.)

Tam do diła nie co za język zwodny.

ELIZA, (do Potulnickiego.)

Zapewne to Wac Pan iesteś teść...

POTULNICKI.

Tak, jestem ojciec Arysta.

ELIZA.

Proszę W. Pana, abyś chciał swojej użyć powagi. Jeżeli mam wierzyć słowom syna Wac Pana; jesteś człowiek roztropny; więc zamiast nicowania prawych związków, zechceż owszem przyzwolić na nie. (*do Furburskiego*) Co zaś do Wac Pana, Mośpanie, żeś pieniężny, nie przeto masz pogardzać, ubogą wprawdzie, ale zacnego urodzenia damą, która domowi ich czyni zapewnień morze przez swoje związki, i coś jest lepszego, niż jego posierźbica.

FURBURSKI, (*do Potulnickiego* .)

Taż to kobieta rozumna, roztropna, łagodna i dobra, która przy pierwszym poznaniu miała mnie zniewolić?

POTULNICKI.

Tak mi syn mój powiadał. Ale iak teraz wi-
dę, ani wątplić, że wielkie popełnił głupstwo.

FURBURSKI, (*do brata* .)

Będzieżże mi Wasé i teraz ieszcze odra-
dzać rozwód?

POTULNICKI, (*do Flizy* .)

Mościu Pani! bardzo mi się ton twój nie
podał; i prawdziwie zaczynam mieć złą
o charakterze iey opinię.

ELIZA.

Tym gorzej dla Wac Pana.

POTULNICKI.

W tym razie, ostatnim dla niey byłaby śród-
kiem pokora i uniżenie się.

FURTBURSKI.

Ala na co te upominania przestań. Wychodźmy stąd zaraz, albo nie chcę nigdy więcej z Wasią gadać. A Wasć moja piękna, wróćcie dla siebie odbierzcie rezolucya.

DAMON, (do Elisy.)

A nie mówiłem ja, że to tak będzie? *(do nich.)* Ale proszę uniżenie, chceycie mnie W. Państwo posłuchać. Strażna tu dopiero stała się omyłka.

FURTBURSKI.

Nie słucham, nie słucham. Możemy się jeszcze tak omamić, jak mój brat; ale kiedy ze mną tak postąpiła zuchwale, rozmówimy się sąłownie. Chodź za mną, bracie. Muszę na moim postawić i rozwód zrobić.

S C E N A VIII.

POTULNICKI, FURYBURSKI,
ARYST, DAMON, ELIZA,
REGINKA.

A R T S T.

ROZWODZIC mnie, jeśli to samo co sztylet utopić mi w sercu.

ELIZA.

Niech, niech spróbuję, zobaczymy.

A R T S T, (do oycy.)

I to jeszcze w obecności W. P. Dobrze tym dla mnie pogrożono gwałtem? i W. P. Dobrze: masz

Słuchać słyia powściązkiego na mnie tak niesprawiedliwie? Ah! umię pierwey, niż żebym mógł mieć takie o tobie, oycze, rozumienie. Znam dobroć charakteru i cnotę twoię! (do Furtyburskiego) i Wac Pan Dobry, gdybyś znał te, którey bronię, zamiast zwracania na nią surowości prawa, gorliwym owszem byłbyś iey obrońcą. Zobaczyć ją tylko potrzeba, a natychmiast wszystko za nią mówi. Wdzięki, skromność a nadewszystko łagodność iey humoru.

FURTBURSKI.

Jey łagodność? ze diabły coświadczyliśmy tey łagodności! Mój kochany, małże tey łagodności częste dowody?

A R T S T.

Ustawiczne, i codzienne.

FURTBURSKI, (do Potulnickiego.)

Jakże daleko odlepi!

POTULNICKI.

Ale mój kochany, my mamy przyczyny inakżego rozumienia.

A R T S T.

O moiey żonie?

POTULNICKI.

Tak iest.

REGINKA, (na stronie.)

Ale jak śmiesz na pomyłka!

POTULNICKI.

Owszem bardzo iest popęlliwa i nieroztropna. Mówię to nawet iey w oczy, że mi się mocno niepodobała.

ARREST, (obzierając się na wszystkie strony.)

Jey w oczy?

FURTBURSKI.

W taką mnie złość wprowadzić, i tak być
zuchwałą!

POTULNICKI.

Bardzo uraziła się.

REGINA.

Nie wytrzymam. Będę się na cały głos
śmiała.

DAMON.

Słuchajno, Aryście.

ARTST. (do Damona.)

Czy to być może żę y Melissa?...
ELIZA.

Nie frało się tu nic złego. Pośląpiono z nim
przyzwójcie.

FURTBURSKI, (do Arysta.)

Otoż Wasć i sam wyszył.

ARTST.

Cóż! ia tu nic nie słyszę.

POTULNICKI, (do Furburkiego.)

Kiedy aż do tego punktu ieś zuchwała, otoż
i ia przystać na twoie żądania, bracie. Prędcy
chodźmy zakrzatnąć się koło rozvodu.

ARTST.

To być nie może, żeby Melissa taką była.
Zadną miarą temu nie wierzę, i zaraz idę po
nią.

FURTBURSKI, (do Potulnickiego.)

Cóż to! czy od rozumu odszedł?

POTULNICKI, (do Arysta.)

Dokądże pójdzie z po nią?

ARTST.

Do iej pokoju.

FURTBURSKI.

Cóż to! czy filozofia przewróciła ci mózg
w głowie? albowiem nie widzisz przed sobą?

ARTST.

(podtrzymując żonę, która tylko co weszła.)

Ona w samej rzeczy! zobaczmy co na to
powie.

SCENA IX.

POTULNICKI, FURTBURSKI, DA-
MON, MELISSA, ARYST, ELIZA,
REGINKA.

ARTST. (do Melissy.)

PRZYBLIZ się tu Was Pani do nas.

POTULNICKI.

Co widzicie!

DAMON.

Otoż to ta sama żona Arysta.

FURTBURSKI.

Ona jego żona?

REGINKA.

A już ci.

ARTST. (do Melissy.)

Powiadano mi, że ojciec mój i stryj mocno
tu od Was Pani był urażeni? że bez żadnego
dla nich respektu...

MELISSA.

Ja miałabym lechem słowu urazić, która znie-
mi nie miałam ielszcze nigdy honoru mówienia!

A R T S T.

Cóż to znowu za bałamuctwo!

D A M O N.

Proszęż mnie posłuchać; wszystko natychmiast będzie wiadomo. Omyłka stała się przyczyną tego hałasu, a omyłki popędliwość siostry Melissy.

A R T S T.

Ale czemuż nie było zaraz o tym przestrzedz?

D A M O N.

Jakże! kiedy mnie słuchać nie chcieli.

E L I Z A.

Ja zaś, com powiedziała, to samo i drugi raz gotowam powtórzyć. Idzie o ostatnią obelgę i krzywdę mojej siostry, i na to miałabym być obojętną? Upewniam, że gdybym była Wac Pana żoną, a o mnie tak myślano, stryja jego nie z czyjey, tylko z mojej zginąłby ręki.

MELISSA, (do Fureburwskiego i Potulnickiego.)

W czymże jestem winna? przyświadczy mi Aryst, że nie przyzwoliłam na nasze szluby, póki mnie nie upewnił i nie zaprzęsił, że ojciec chętnie je potwierdzi, (do Potulnickiego.) Zatem do W. Pana Dobr: widzę, iż mi się udać potrzeba, abys synowskie raczył uiszczyć obietnice. Nadto, W. Pan Dobr: kochać swojego syna, abys miał potępić jego wybór i mojego nie-szczęścia stał się przyczyną.

P O T U L N I C K I.

Moja Pani! syn mój nie mógł zacieyszy obrac dla siebie żony. Znam to, i nieprzeciwilbym się zapewne, gdyby młodek Arysta mogli na was oboje wystarczyć; ale jego szczę-

ście zawisło od sryia, który nastaje na rozwód,
albo go wydziedziczy.

MELISSA, (do Furburskiego.)

Na Wac Pana Dobr: nie mam innego oręża,
prócz łez i uniżoności. Racz potwierdzić moje
szczęście, oto cię proszę, i nie będę miała za
wstyd do nóg się twoich uniżyć. Ale, jeżeli da-
remne są moje żądania, jeżeli zostaniesz nie-
porażony w swoim gniewie; nie chcę być
pryczyną nieszczęścia Arysta. Dokonay na-
szego rozwodu, a przywróć mi swój affekt,
moją zaś ztąd hanbę i żal smutne klasztoru
ukryją ściany.

FURBURSKI, (znicmiony.)

Ktożby mógł nie zostać zniewolonym, na
taki urok łagodney i słodkiej wymowy! syno-
wico moja kochana, zostań, proszę cię. Ale co
teraz pocznę! W zapędzie gniewu moiego przy-
rzekłem rodzicom Szambelana zapisać cały
małtek mojej pańszczyzny: choć zatym do-
zwolę żyć wam z sobą, nie będziecie po mnie
mieć sukcesyi. Wszystko Szambelan weźmie.

A R T S T, (do Furburskiego.)

I owszem należy, żebyś W. Pan Dobr: był
w słowie rzetelny: ie zaś mam wszystko, kiedy
Melissa moją będzie.



SCENA OSTATNIA.
SZAMBELAN, POTULNICKI, FU-
RYBURSKI, ARYST, DAMON,
MELISSA, ELIZA, REGINKA.

SZAMBELAN.

ZASTAJĄC was tu razem, Państwo mo-
je, dorozumiewam się, że po krótkiej sprzecz-
ce nastąpiła zgoda. Nie można, wierźcie mi,
roztropniey postąpić, (*do Arysta.*) Tobie, przy-
jacielu, winszuję szczęśliwego postanowienia.
Uściłbym się dawniey, w tym naszym przy-
jaźni obowiązku; ale żeś nie był łaskaw,
i wcześniey mnie nie ostrzegł, niech i ten mo-
ment nie będzie wzięty za opóźnienie.

ARYST.

Mój Szambelanie, zaniechay tych iałowych
żartow. Nie obawiam się ich więcej, pewien,
że i na ciebie wkrótce tukaż przyidzie kolej.

SZAMBELAN.

Byleby tylko woła twoi-go strvia nastąpiła,
iещezem dziś gotow. (*do Furihurkiego.*) Umy-
śliłś W. P. Dobr: wydać swoją pasierźbicę za
Arysta, co teraz już nastąpić nie może; za-
kończmyż my między sobą interes.

FURYBURSKI.

Powoli, powoli, Panie młody, iaki z Waści
gorączka.

SZAMBELAN, (pokazując na *Arysta*.)

Skoro człowiek tak rozumny podda się pod jarzmo małżeńskie, skoro się tego nie wstydzi; może nadto skwapliwie w ten sam, co i on, puścić się zawód?

FURTBURSKI.

Nieruch i tak będzie. Dać Wac Panu moją pańszczycę, Znaś iey urodzenie edukacją...

SZAMBELAN.

Znam bardzo dobrze.

FURTBURSKI.

Nie jest też Panienska uboga.

SZAMBELAN.

Tym lepiej.

FURTBURSKI.

Do tego jeszcze cały wam mój majątek zapiszę.

SZAMBELAN.

Co to, to proszę, żeby nie było w intercyzie; inaczej dziękuję za wszystko, i do niczego nie przystąpię.

FURTBURSKI.

Jak to! nie chcesz przyjąć mojej łaski?

SZAMBELAN.

Nie żebym miał udawać wspaniałego, ale że z czasem aż nadto będę bogaty. Nareszcie choćbym był najuboższy, i wszelkich dobrego mienia pozbawion nadziei, wolałbym raczej umrzeć w ubóstwie, iak bogacić się z krzywdą przyziaciela: a zatym racz W. P. Dobr: być zupełnie dobroczynnym. Nie dość to jest, że dozwalał *Arystowi* żyć z *Melissą*; potrzeba jeszcze, abyś uwieczzył ich cnotę. Proszę,

chceley dla nich upewnić cały swóy majątek;
bo ja go nie przyjmę.

A R T S T.

Ah! nadto wspaniały przyjacielu.

POTULNICKI.

Co za osobliwśzy i rzadki charakter!

FURTBURSKI.

Dziwię się takiemu oświadczeniu, lecz na-
reszcie przystaę na nie. Arysto! i ty Melisso!
Przedsięwziąłem was ukarać, lecz wszystko mōwi
za wami. Niechże mōy cały majątek będzie
waszym, choć inaczej być miało.

MELISSA.

Szczęście Arysta jest moim takż szczęściem.

FURTBURSKI, (do Brata.)

Chodźmy bracie napisać razem dwie intercyzy.

A R T S T. (do Elizy.)

Jeżeli chcesz, siostró, możemy zaraz napisać
trzecią.

MELISSA.

Zapewne, do czego te fałszywe wstępy.
Skoro kochasz Damona, daj mu słowo.

A R T S T.

Wierz mi, że z tej partyi będziesz kontenta.
Ukrywał się dotąd z urodzeniem i nazwiskiem
swoim, ale ręczę ci za jego znakomitość i za-
cność.

ELIZA.

Wierzę Wac Panu, ale z tym wszystkim...

REGINKA.

Do czegoż Wac Pannie te dainwactwa?

DAMON.

Widzę nareszcie, że choć niechętna oddaiesz
mi jednak sprawiedliwość.

ELIZA, (zudanyim gniewem.)

Tak tak, poczwaro! widzę, że z przeznaczenia twoją być muszę. Masz za sobą serce moje, ale zobaczysz, jak się nad tobą pomścę.

REGINKA.

Nie szpetna zapowiedź.

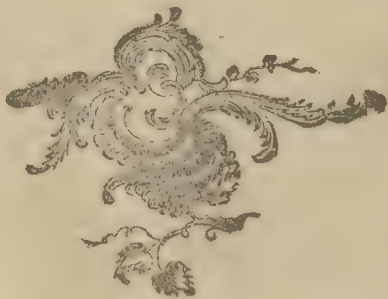
D A M O N.

Łay, gnieway się, piorunuy. Kochasz mnie jednak, ja ciebie kocham, i niczego się nie obawiam.

ARTST, (do Melissy.)

Dla dogodzenia zaś twoim życziom Melisso! zadzierżgniemy tym mocniej słodkie związki nasze wobec powzięchości, i przekonamy żartownisiow, że mimo wszelkie szyderstwa i ośławienie, stała tylko cnota szczęśliwe czyni małżeństwa, a małżeństwo przystoi cnotcie.

K O N I E C.



SUPPLEMENT KATALOGU.

Powieści moralne Panny Unicy, które są niby dopełnieniem Powieści P. Marmontela. 4. Tom: *in 8vo.*

	Zł: 24.
<i>Amant Doktor</i> , Komedia.	Zł: 2.
<i>Anne-bell</i> , Powieść moralna.	Zł: 2.
<i>Cyrulik Sewilski</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Doktor Lubelski</i> Komedia	Zł: 3.
<i>Dwie Krolowe</i> , Dramma.	Zł: 3.
<i>Dwojakie giupstwo</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Miejszki modne</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Meropa</i> , Tragedya Pana Voltaire w wierszach.	Zł: 3.
<i>Rozwodka</i> , Komedia oryginalna.	Zł: 2.
<i>Stub modny</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Alceza</i> , Tragedya Pana Voltaire.	Zł: 3.
<i>Opiekun oszukany przez siebie</i> , Komedia.	Zł: 2.
<i>Osada nowa</i> , Opera.	Zł: 2.
<i>Rensz</i> , Powieść moralna.	Zł: 1. i pół.
<i>Stuga Pani</i> , Opera.	Zł: 2.
<i>Ułot Bankrut</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Wespa bezładna</i> , Opera.	Zł: 2.
<i>Ot tak po Maryczewsku</i> , Komedia	Zł: 3.
<i>Honorarium</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Świętoszek</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Ociec dobry</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Frantostwa Panfila</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Natalia</i> , Dramma.	Zł: 3.
<i>Miłość odnowiona</i> , Komedia.	Zł: 2.
<i>Luzylla</i> , Komedia.	Zł: 3.
<i>Pas Czarnoksiężski</i> , Komedia.	Zł: 2.
<i>Tryumf kontusza</i> , Komedia.	Zł: 2.

<i>Medea</i> , Molo Dramma.	-	-	Zł: 1.
<i>Szkola</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Malkinowa w rękawach</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Malkinowa</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Nawiasigawa</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Gdy prawi</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Don Juan</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Podurzliwi</i> , Komedia.	-	-	Zł: 1. i pół.
<i>Filozof żonaty</i> , Komedia.	-	-	Zł: 3.
<i>Dwóch Strzelców i Mlecarka</i> , Opera.	-	-	Zł: 2.
<i>Wiesniaczka uszczęśliwiona</i> . Tom: 4. in 8vo.	-	-	Zł: 16.
<i>Zbiór Rozłuczy Rady. Nieustającej, potrzebnych do wiadomości Burzardkcyi Sądowych, i Obywatelów obojga Narodów</i> . Tom 1. Fol:	-	-	Zł: 12.
<i>Zwierzenie i porzanie ładney Kobiетки</i> . Tom: 4. in 8vo.	-	-	Zł: 8.
<i>Hystorya o kawalerze Baptiste de Laporte i Blance de Rossy</i> .	-	-	Zł: 2.
<i>Hystorya Turecka</i> . Tom: 5. in 4to.	-	-	Zł: 36.
<i>Królowa dziwak</i> , Powieść moralna.	-	-	Zł: 1.
<i>Listy Przyjacielskie</i> .	-	-	Zł: 2.
<i>Dwa listy Pana Dołwinderpskiego</i> .	-	-	Zł: 1. i pół.
<i>Hystoryczno-krytyczne wiadomości o życiu i pismach P. Voltera</i> , z jego portretem.	-	-	Zł: 4.
<i>Kabala</i> .	-	-	Zł: 1.

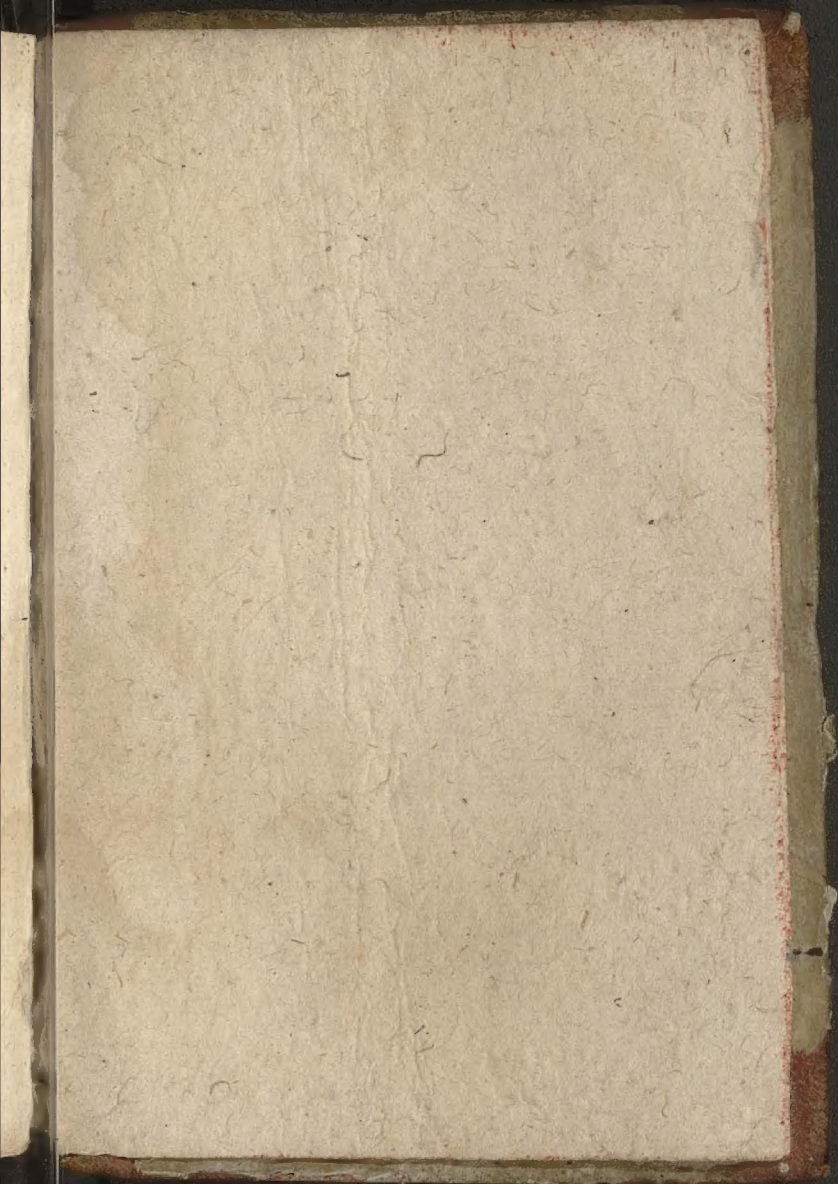
Pod Praską.

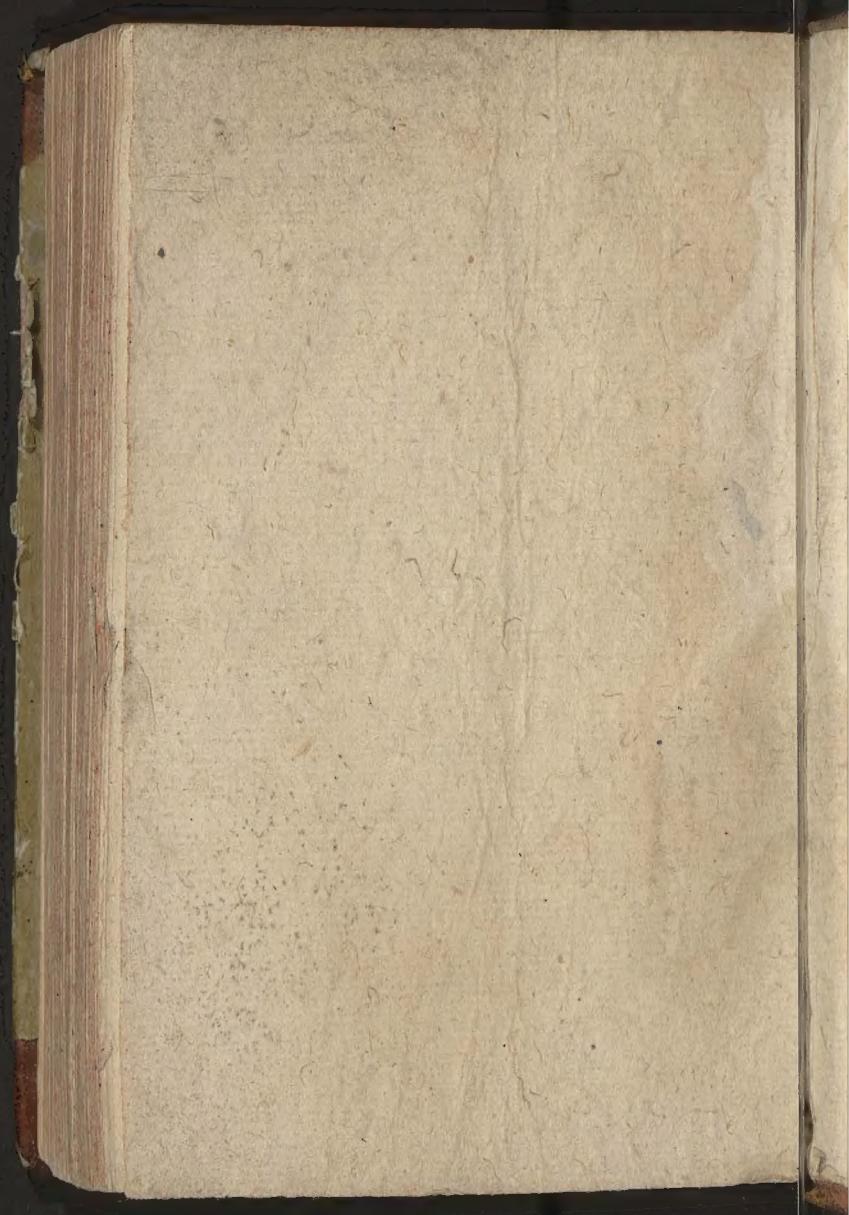
Apteczka końska.

Alzira, Tragedya P. Voltaire w wierszach.

Stawcy ofiarani, Komedia.

Zumma, Tragedya.





Biblioteka Jagiellońska



stdr0023860

